

Historia na ekranie. Rozmowa z Agnieszką Holland



Wywiad z Agnieszką Holland przeprowadzony przez dr. hab. Piotra Witka z okazji XX Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich odbywającego się w dniach 18.09-20.09.2019 r. w Lublinie. Wywiad był prezentowany podczas Zjazdu w ramach przeglądu filmów historycznych przed premierową projekcją obrazu Agnieszki Holland pt. „Obywatel Jones”, która miała miejsce 18.09.2019 roku w sali kinowej Centrum Spotkania Kultur w Lublinie.

Realizacja wideo
dr hab. Piotr WITEK

VI interdyscyplinarne seminarium: Zrozumieć „Młodsza Europeę”. Misja i

historia Instytutu Europy Środkowo- Wschodniej w Lublinie.

ohistorie



Zrozumieć

„Młodsza Europa”.

Misja i historia Instytutu Europy
Środkowo-Wschodniej w Lublinie

15 kwietnia 2019 r., godz. 19:00

Sala Czarna,
Ośrodek „Brama Grodzka
- Teatr NN”, ul. Grodzka 21

W debacie udział wezmą:

Dr Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz
(Fundacja im. Stefana Batorego)
Dr hab. Mirosław Filipowicz (KUL)
Dr hab. Sławomir Łukasiewicz,
prof. KUL.

**Zapraszamy na VI
interdyscyplinarne seminarium: Zrozumieć „Młodsza Europa”. Misja i historia
Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie.**

W ramach debaty, w której wezmą udział dr Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz (Fundacja im. Stefana Batorego), dr hab. Mirosław Filipowicz prof. KUL i dr hab. Sławomir Łukasiewicz, prof. KUL przybliżona zostanie badawcza, formacyjna i kulturowa działalność IEŚW oraz rola i znaczenie tego typu instytutów w dyplomacji i polityce historycznej, w odniesieniu do relacji między historiografią, pamięcią historyczną i wielowymiarową polityką państwa.

**Wywiad dr Ewy Sołskiej i dr. hab.
Piotra Witka z prof. TIMOTHY
SNYDEREM: Historia prawdziwa – naukowa
i wielostronna – jest najlepszą
polityką historyczną**



Timothy Snyder, profesor Yale University, specjalista w zakresie współczesnych dziejów Europy Środkowej i Wschodniej oraz historii nowożytnego nacjonalizmu. (fot. Edyta Pietrzak)

***Historia prawdziwa
– naukowa i wielostronna –
jest najlepszą polityką historyczną***

**Wywiad dr Ewy Solskiej i dr. hab. Piotra Witka
z prof. TIMOTHY SNYDEREM**

Ewa Solška, Piotr Witek: Panie Profesorze, jesteśmy metodologami i patrzymy na pracę historyków nie tylko pod kątem metody i teorii badań historycznych, ale też próbując ją analizować w kontekstach, czego przykład dał zresztą prof. Jan Pomorski, wyróżniając dwa obszary Pana dziejopisarstwa. Pierwszy to biografistyka, która w naszej ocenie nawiązuje do pewnych ujęć mikrohistorycznych. Mamy tu trzy biografie: Kazimierza Kelles-Krauza, Henryka Józewskiego i Wilhelma von Habsburga. Ale w tych opracowaniach nie chodzi tylko o ich bohaterów, chociaż nazwalibyśmy ich (za Piotrem Mitznerem) postaciami zwielokrotnionymi, bo nie da się ich usytuować w jednym środowisku, w jednym zawodzie, w jednym czasie i jednej przestrzeni. Przecież mamy w nich jeszcze typową dla mikrohistorii próbę pokazania całej epoki jakby przez soczewkę jednego życia. Drugi obszar to historia transnarodowa. I tu chcemy się dowiedzieć, co znaczy to określenie dla Autora i dlaczego znaczy. Dla nas jest to historia pisana w perspektywie podejścia *cross-culture studies*, *histoire croisée* (historia wzajemna, skrzyżowana, powiązana) i *Gemeinsame Geschichte*, czyli historii współdzielonej. Wreszcie trzeci obszar, którego prof. Pomorski nie uwzględnił, a chcemy go tu uwzględnić, czyli tzw. historia

jutra, która w pewnej mierze mieści się w nurcie literatury ostrzegawczej, nader znaczącej w tradycji europejskiej. W tym przypadku chodzi o dwie książki – *O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku* i najnowszą, *The Road to Unfreedom: Russia, Europe, America* [w pierwszym kwartale 2019 r. ma się ukazać w przekład polski: *Droga do niewolności. Rosja, Europa, Ameryka*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2019]. Przy tym wyraźne jest w nich ukierunkowanie pod kątem refleksji aksjologicznej i deontologicznej w odniesieniu do samej nauki historii; można tutaj przywołać jedno z pytań Kantowskich: Co należy czynić, jak powinniśmy postępować? Czytelnik odnosi wrażenie, iż Pan Profesor sygnalizuje, że jeśli nie wrócimy jako obywatele, a w szczególności jako historycy uczeni, do myślenia w kategoriach wartości i sporów o wartości, zwłaszcza o wolność i prawdę, to, krótko mówiąc, będzie coraz gorzej.

Timothy Snyder: Moja pierwsza ogólna uwaga będzie taka, że nie funkcjonuję programowo, więc można odczytać to, co robię, w taki sposób, jak to przedstawiliście, ale wcale nie jest tak, że ja mam program i uważam, że mam trzy punkty i je wypełniam. Wystrzegam się takiej autocharakterystyki, bo mam wrażenie, że jeżeli się zbyt ściśle określę, to sam włożę na siebie kajdany. Jeżeli przyjmuję jakiś program, to będę musiał go wypełniać, więc to nie jest tak, że totalnie się nie zgadzam, ale przyjmuję, że historyk nie będzie dobrze uprawiał historii bez pewnej dozy ryzyka, dowolności, nieprzewidywalności. Odpowiadając na pytanie co do tego pierwszego obszaru, to jest dobry przykład, bo tak, to prawda, że napisałem trzy biografie, ale w żadnym wypadku nie miałem zamiaru pisać biografii. Jeżeli chodzi o Kelles-Krauzę, to chciałem napisać studium o powstaniu współczesnej polityki w Polsce na podstawie trzech postaci, ale uważałem, że pierwsza postać jest wystarczająco ciekawa, żeby napisać całą pracę doktorską, i tak się stało. Jeżeli chodzi o Józewskiego, temat pochodził pośrednio z *Rekonstrukcji narodów* [*Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569–1999*, wyd. polskie 2006], w której opisałem wydarzenia na Wołyniu i jeszcze miałem przed sobą taką zagadkę: dlaczego, choć przed tymi wypadkami była na Wołyniu polityka tolerancji dla Ukraińców, parę lat potem dokonały się czystki etniczne? I jak już miałem przed oczyma Józewskiego, to zrozumiałem, że jest to postać, jak zauważyliście, wielu wymiarów, która zasługuje na więcej uwagi. Interesował mnie jako państwowiec i ktoś, kto uważał narody właściwie za twory mistyczne. Uważał, nie tylko moim zdaniem słusznie, że narody się ze sobą komunikują przez sztukę, humanistykę, pieśni. Jeżeli chodzi o Habsburga, to od 25 lat, może trochę więcej, pracuję nad studiami rodzin narodowościowo podzielonych, gdzie brat albo siostra wybiera jeden albo drugi kierunek tożsamościowy i oboje staną się ważnymi postaciami w różnych narodach, po czym historia zapomina, że należały one kiedyś do jednej rodziny. Na przykład Narutowicz – miał brata Litwina, Szeptycy byli polsko-ukraińscy; tu może być dużo takich przykładów. I Wilhelm von Habsburg wydał się Ukraińcem, choć miał być Polakiem i w rodzinie miał Polaków. Trafiłem zresztą na źródła, które pozwoliły mi napisać całe studium biograficzne. Często uważa się, że biografia to gatunek konserwatywny, niemodny, ale wydaje mi się, że jest to forma, która na dużo pozwala. Autor ma tu dużą rozpiętość tematów i kontekstów, bo życie człowieka właściwie dotyczy prawie wszystkiego i też życie jednej barwnej postaci pozwala na nieoczekiwane odkrycia w historii

jednego narodu. Stosunkowo niewiele jest w polskiej historiografii prac o okresie międzywojennym w ujęciu pewnych ciągłości, a Józewski trochę wypełnia tę lukę. Austriacy wolą nie myśleć o historii międzywojennej w ogóle, a Wilhelm von Habsburg nam pozwala widzieć, jakie są momenty ciągłości od epoki Habsburgów do epoki międzywojennej. Wydaje mi się, że tutaj kryje się ważna reguła dziejopisarstwa: jeżeli historyk skonfrontowany ze źródłami nie zmienia tematu, to coś jest nie tak z jego metodologią; źródła zawsze powinny nas zmienić, nie tylko akcenty, ale właściwie cały temat. Co do tego drugiego obszaru – historii transnarodowej – owszem, tutaj zaczynamy od tego, że monopol historii narodowej jest tak silny, nie tylko w Polsce, iż nie jesteśmy w stanie tej metody widzieć jako metody; jest jak powietrze po prostu. Polska jest tak naturalna jak powietrze i Polakom wewnątrz polskiej kultury, polskiego społeczeństwa bardzo trudno będzie widzieć ten temat tylko jako temat. Jesteśmy jak, zmieniając analogię, ryby w wodzie i mamy studiować tę wodę, albo mamy studiować coś, co jest w tej wodzie, ale nie widzimy tej wody, bo woda jest taką naturalną rzeczą; to dotyczy też Amerykanów. Amerykańska historiografia jest bardzo nacjonalistyczna i narcystyczna właściwie. Chodzi więc o to, żeby od samego początku nie kwestionować historii narodowej, ale po prostu robić coś innego, w innym podejściu, zaczynając od innych zasad. Ja na przykład w *Rekonstrukcji narodów* i też w *Skrwawionych ziemiach* [Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem, wyd. pol. 2011] zaczynam nie od państw i nie od granic dzisiejszych, ale od terytorium inaczej określonego. W obu tych książkach, mimo wszystkich różnic, koncentruję się na tym samym terytorium i to pozwala na uchwycenie, jak narody się zmieniają i jak państwa się zmieniają. I to pokazuje, że państwo narodowe wcale nie jest czymś trwałym, przeciwnie – jest w zasadzie wyjątkiem. Nawet jeżeli istnieje, to istnieje na różnych terytoriach, w różnych momentach, w różnych formach. Chodziło więc o to, ażeby narody i państwa były tematami, przedmiotami studium, a nie żeby były założeniami. To wcale nie jest skomplikowane, po prostu trzeba zmienić perspektywę i wybrać coś oprócz narodu, żeby widzieć naród. Chodzi o to, żeby w ten sposób uchwycić te istotne zmiany narodu, bo jak na przykład rozumieć odmienność narodu polskiego powojennego w porównaniu z narodem polskim przedwojennym bez poważnego skupienia się nad historią Żydów i Ukraińców? To nie jest możliwe, bo nie można Żydów i Ukraińców widzieć po prostu jako „brak”. Czy Polacy z Wołynia, którzy osiedlili się, dajmy na to, koło Gdańska – ich polskości nie można rozumieć bez tych poprzednich doświadczeń. Wydaje mi się więc, że historia transnarodowa jest potrzebna, by rozumieć historię narodową właściwie, przy czym pozwala na porównanie. W tych książkach, które tu przytoczyłem, na końcu robię właśnie pewne porównanie. W *Rekonstrukcji narodów* nie porównuję narodu litewskiego i polskiego pod kątem różnic, lecz podobieństw choćby pod względem tego, że oba powstały dzięki buntowi przeciwko Rzeczypospolitej. Głęboko, strukturalnie są więc podobne, i to jest porównanie, które jest niemożliwe, jeżeli zaczynamy od dzisiejszych form tych narodów, ale i jeżeli zaczynamy od samoopisów tych narodów. Tego się wtedy nie zobaczy. Natomiast ten ostatni wątek – historia jutra, historia w stronę przyszłości – macie rację, coraz bardziej jestem przekonany, że historia sama jest właściwie formą myślenia politycznego i etycznego, które skierowane jest w przyszłość. Tymczasem jesteśmy konfrontowani z polityką, która, opierając się na myśleniu ahistorycznym, deterministycznym, podważa sens przyszłości jako tego, co niezdeterminowane, i poniekąd niszczy czas historyczny. Można

się też schronić za oczywistym stwierdzeniem, że jesteśmy dyscypliną naukową, ale każda dyscyplina ma swoją etykę i historia ma to do siebie, że jeżeli istnieje, to istnieje wobec i przeciwko wszystkim narracjom deterministycznym. Powtórzę: determinizm w zasadzie podważa sens historii. Jestem przekonany, że w historii nieunikniona jest treść etyczna i polityczna, aby zwalczać myślenie deterministyczne w polityce bieżącej. Czy inaczej rzecz biorąc – będąc historykiem, nie mogę uciekać od jakiegokolwiek doży odpowiedzialności politycznej i etycznej, i to byłoby to założenie „historii jutra”.

E.S., P.W.: Na wykładzie podczas uroczystości nadania tytułu doctor honoris causa UMCS i na spotkaniu z czytelnikami tego samego dnia [22 października 2018 r.] w Teatrze Starym w Lublinie wiele mówił Pan o relacjach pomiędzy historią i pamięcią. Temat ten pojawia się również w *Rozważaniach o wieku XX* – książce napisanej wspólnie z Tonym Judtem. Chcielibyśmy prosić o odpowiedź na pytanie, które zadał Pan prof. Judtowi: czy historia i pamięć są pokrewne, czy są sojusznikami, czy są wrogami? Na wykładzie mówił Pan, że historia daje lekcje, ale sama pamięć już nie. Przyjmijmy, że tak jest, więc pytanie z kolei: jaka historia? Bo jeżeli przykładowo przyjrzymy się historii etnocentrycznej, która w Polsce (i Europie Środkowo-Wschodniej) nadal dominuje, to niekiedy wydaje się ona bliższa konfliktogennej, nacechowanej emocjonalnie pamięci i polityki pamięci, niż, powiedzmy, badaniom w modelu Ranke’owskim, w których chodzi o to, aby ustalić, co się właściwie stało – i to wszystko. Aktualnie mamy konflikt historii/pamięci pomiędzy Polską i Ukrainą, w którym niestety udział bierze też Instytut Pamięci Narodowej, w końcu także placówka naukowa. Jeśli zatem historia etnocentryczna zdaje się pełnić wobec społeczeństwa funkcję pamięci, to jakiej lekcji może nam udzielić? I jeszcze jedna wątpliwość: czy pamięć musi być wrogiem historii? W sensie Assmanowskim historiografia jest też pewną formą pamięci kulturowej; historia świadków zwłaszcza w kontekście historii mówionej jest przeciwieństwem wykładnią pamięci – indywidualnej i zbiorowej. Czy ze względu na wieloznaczność i wielozakresowość pojęć „pamięć” i „historia” nie powinniśmy ich za każdym razem definiować w kontekście użycia?

T.S.: Musimy określić te słowa, bo moje publiczne stwierdzenia, że jestem wrogiem pamięci, a pamięć jest wrogiem historii, to są pewne uproszczenia. Ale one służą temu, żeby pokazać, gdzie faktycznie jest różnica, i że rząd albo państwo, które mówi o pamięci, może ma jednak intencję przeciwstawną intencjom profesjonalnych historyków. To nie jest komfortowa sytuacja dla historyka, jeżeli konwersacja o przeszłości staje się domniemanym dyskursem pamięci – chcę, żeby to było jasne. Ludzie powinni wiedzieć, że historia i pamięć to różne sposoby ustosunkowania się do przeszłości. Jest takie myślenie, że idealnym stanem rzeczy byłaby jedna historia – historia wszystkiego. To jest oczywiście obraz wyidealizowany, bo nie ma takiego historyka, który napisze historię wszystkich ludzi od początku do końca. A jednak ten ideał pomoże nam dostrzec, jaka ma być historiografia; każda książka historyczna jest świadomie nieskończona i powiązana z historiografią już istniejącą, ale też z historiografią jeszcze nieistniejącą. Natomiast

pamięć nie ma takiego ideału, nie ma swojego modelu. Jest konieczna do istnienia dziejopisarstwa; każdy dokument powstaje, bo ktoś coś pamiętał i napisał, bez świadectwa pamięci historiografia nie powstanie. Historyk sam musi pamiętać źródła, ustalenia innych historyków, dyskusje z kolegami, więc oczywiście pamięć tak określona jest sprzymierzeńcem historii. Ale pamięć w formie polityki historycznej, nie służy do tego, aby szerzyć wiedzę i stawiać nowe pytania, lecz do tego, ażeby dalej i głębiej ugruntować nasze założenia, że „my” to „my” i „oni” to „oni”. I że to „my” jesteśmy zawsze waleczni i niewinni, a „oni” nie. Pamięć sformułowana pod tym kątem jest wrogiem historii. Historycy bardzo często bywali i są instrumentami takiej polityki, a pokusa zaangażowania w projekt polityczny jest silna, zwłaszcza jeżeli państwo ma instytucje pamięci narodowej dobrze finansowane, a instytucje historii na uniwersytecie marnie finansowane. Ale historycy mogą też funkcjonować gdzieś pomiędzy i to jest to, co opisujecie jako historię narodową albo historię jednonarodową. Tylko że historia narodowa, moim zdaniem, jako taka jest niemożliwa jako nauka. Więcej – jeżeli historia jest narodowa, nie jest historią, tak jak biografia z perspektywy tylko i wyłącznie jednej osoby i jednego życia nie jest żadną biografią. To dotyczy też moich zastrzeżeń do pierwszego pytania. Pytanie jest bardzo dobre, ale chodzi o to, że ja jestem tylko jedną osobą i nie wiem do końca, dlaczego robię tak, jak robię. I nie roszczę sobie pretensji, abym to wiedział. Analogicznie – naród nie wie, dlaczego naród coś robi, ma pewne intuicje, ale często są one fałszywe.

E.S., P.W.: W tym wypadku więc to od historyków-uczonych oczekuje się, że wyjaśnią, a zatem pomogą zrozumieć, dlaczego naród robi to, co robi. Ale jeżeli historyk angażuje się, by tak rzec, w przyszłość, czyli w projekt polityczny, to działa na zasadzie: my mamy wiedzieć, jak to zrobić, żeby ludzie zaczęli myśleć i postępować zgodnie z tym, co przewiduje projekt. Z dbałością o rzetelność badań, o metodę naukową i prawdę historyczną może być wtedy kłopot, a w konsekwencji te podstawowe reguły heurystyki są po prostu ignorowane.

T.S. Tak.

E.S., P.W.: Panie Profesorze, był Pan związany z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Czy zaliczyłby Pan to muzeum do dyskursu pamięci, czy do dyskursu historii? Czy na przykład kino historyczne włączyłby Pan do dyskursu pamięci, czy historii? Pytamy o to w kontekście *Rozważań o wieku XX* i zagadnienia, które rozważaliście z prof. Judtem: *Mémorial* czy *Historial*? Chodzi tu oczywiście o społeczne lokalne muzeum dwudziestowiecznych wojen francusko-niemieckich w Caen i to w Péronne, powołane przez międzynarodową komisję zawodowych historyków. Czy da się i czy należy, zwłaszcza w odniesieniu do *public history*, wyznaczyć wyraźną granicę pomiędzy pamięcią a historią?

T.S.: Wcale nie jest jasne, gdzie jest ta granica. Mówimy teraz o pewnych ideałach metodologicznych. Dla mnie istota sprawy polega na tym, czy czekamy na niespodzianki, czy nie. Ten, kto buduje instytucje pamięci czy polityki historycznej, nie chce niespodzianek; ten, który zajmuje się historią, szuka i wynajduje niespodzianki, bo właśnie taka jest przygoda z historiografią. Metodologia też wszystkiego nie jest w stanie przewidzieć ani opisać

wszystkich możliwości w badaniach naukowych. Jeżeli więc chodzi o te konkretne przykłady – muzea historyczne bywają różne rzecz jasna. Dla mnie imponujące w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku było to, że ci Polacy, koledzy, którzy je stworzyli, zrobili to na podstawie stanu badań historiografii nie tylko polskiej, ale też niemieckiej, amerykańskiej, rosyjskiej, żydowskiej. Oni mieli taką aspirację, żeby to muzeum było dostępne dla szerokiego dyskursu, dla konfrontacji. W trakcie jego obmyślenia i tworzenia ja byłem poniekąd wewnątrz, jako członek Rady. Razem z kolegami tworzyliśmy tam środowisko międzynarodowe, które w jakimś stopniu weryfikowało czy raczej ukierunkowywało poprzez dyskusje i sugestie pracę na poszczególnych etapach, ale właściwie muzeum było dziełem tej małej grupy Polaków z zespołu prof. Machcewicza. To muzeum pokazało zresztą coś ciekawego, nawet zaskakującego – możliwość takiej polityki historycznej, która kieruje jej odbiorców do prawdziwej historii. Czyli jeżeli jest się na przykład Polakiem w XXI wieku i uważa się, że Europa albo Ameryka nie rozumie naszej historii, co jest prawdą, takie muzeum to najlepszy sposób na to, żeby pokazać tę prawdę na tle znanych wydarzeń, II wojny światowej na przykład. To znaczy też pokazać właściwe proporcje na przykład w tym, że polskie państwo podziemne to była inna jakość, inny wymiar niż ruchy oporu w okupowanej Europie, i że opór polski był też jedynym znaczącym ruchem antykomunistycznym. Ale to jest widoczne tylko na tle innych historii innych państw. Bardzo ważne jest jednocześnie, by pamiętać o tych milionach Polaków, ale i o milionach jeńców sowieckich, którzy zginęli. Wtedy ten Norweg albo Irlandczyk, albo Rosjanin, chodząc po Muzeum, myśli tak: to, co wiem, jest tutaj, wydarzenia i fakty, ale w konfrontacji z innymi faktami pomijanymi w historii nacjocentrycznej, układa się nowe poczucie proporcji. Właśnie dlatego fakt, że Polska była poniekąd w środku tej wojny, jest widoczny dopiero z perspektywy całej wojny. To jest moim zdaniem przykład tego, że historia prawdziwa – naukowa i wielostronna – jest najlepszą polityką historyczną. Inne podejście polega na tym, że to my – naród – będziemy mówić innym o historii, a w rzeczywistości jest to wybieranie z historii faktów najbardziej wygodnych dla obecnych polityków. Otóż to, po pierwsze, nie jest historia, a po drugie, nie przekonuje nikogo. To znaczy przekonuje niektórych Polaków, którzy już są przekonani, ale jeżeli cudzoziemiec przychodzi do alternatywnego Muzeum II Wojny Światowej, gdzie jest tylko o Polakach, którzy jak zawsze byli świetni, masowo ratowali Żydów i wygrali II wojnę światową, to on tego nie przyjmie. Przejaskrawiam to oczywiście, wiedząc, że są narodowe muzea II wojny światowej działające na podobnych zasadach i właściwie dla odbiorcy wewnętrznego. A Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku miało w swojej koncepcji ofertę wiedzy i dla Polaków, i dla cudzoziemców, i to było unikatowe.

E.S., P.W.: Przykład Muzeum II Wojny Światowej potwierdza to, że politycy traktują historię jak agon – pole walki o pamięć. Zgadza się z tym, że polityka historyczna jest działaniem w państwie i społeczeństwie nieuniknionym, ale zaczyna być problemem dla nauki historii, kiedy polityka staje do „wyścigu w uchwalaniu historii”. W 2015 r. Rada Narodowa Ukrainy uchwaliła cztery ustawy dekomunizacyjne. Wszystkie skierowane były przeciwko Rosji, miały dać mocny komunikat, między innymi zakaz zaprzeczania czy negowania kryminalnej natury totalitarnego ustroju czy reżimu komunistycznego między latami 1917 a

1991. Była w nich też obrona organizacji walczących o niepodległą Ukrainę – Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). To dało asumpt do tego, co później się stało w Polsce, czyli nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej w punktach dotyczących relacji polsko-ukraińskich, która w pewnych sprawach podważała ustalenia akademickiej historiografii. Historyk w sytuacji „uchwalania historii” przez polityków w kampanii politycznej walki o pamięć czuje się chyba bezradny. Bo co możemy zrobić, żeby być słyszani przez społeczeństwo? Co robić w sytuacji, kiedy na zakłamanie, manipulacje i przysłówiowe „wciskanie kitu” wystarczy jedno zdanie, a na jego zdemaskowanie, sprostowanie i wyjaśnienie trzeba pięćdziesięciu zdań – kto to przyjmie w epoce *leadów* i postów internetowych? Obawiamy się, że historia etnocentryczna sprzyja „uchwalaniu historii” przez polityków, a historycy angażują się w argumentację historyczną, co jest stwierdzeniem trywialnym, ale w tym kontekście nabiera specyficznego znaczenia przez nietrywialne konsekwencje. Ironicznie można powiedzieć, że historia wraca do swoich rzymskich korzeni – była w końcu częścią wykształcenia elit politycznych i służyła jako rezerwuuar argumentów w debatach na Forum czy w Senacie. Jednym z nowszych u nas przykładów może być książka Andrzeja Nowaka *Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement*, z której wynika, że Polska w swoich dziejach niemal ciągle była ofiarą zdrady sojuszników. Mamy tu do czynienia z narracją historyczną kreującą mit zdrady Polski przez Zachód, który świetnie wpisuje się w politykę historyczną reanimującą mit mesjanistyczny. Taka narracja jest więc użytecznym narzędziem walki politycznej właśnie przez tworzenie mitów historycznych, mających z reguły moc więziotwórczą, których zadaniem jest budowanie ekskluzywnej nacjonalistycznej tożsamości. Rozmawiamy w roku obchodów stulecia niepodległości Polski. Odzyskanie przez Polskę niepodległości jest w nacjocentrycznym dyskursie polityki historycznej przedstawiane w taki sposób, że to głównie wola i moc narodu polskiego, a nie upadek imperiów zaborczych, czyli pewien zbieg okoliczności historycznych, zdecydowały o powrocie Polski na mapę Europy. W polskiej optyce kluczowe jest słowo „odzyskanie”. Zauważmy przy tym, że spadkobiercami pierwszej odzyskanej, nazwijmy to tak, Rzeczypospolitej, były jeszcze trzy państwa, poza Polską – Ukraina, Białoruś i Litwa. Przez nacjocentryczną politykę historyczną to jest wiedza słabo obecna w świadomości polskiego społeczeństwa.

T.S.: Jeżeli chodzi o I wojnę światową, to jest piękny przykład tego, jak wielka jest polska historia, ale nie w tym sensie, to znaczy romantycznym. Jest wielka w tym sensie, że odsłania główne tendencje historyczne. Moim zdaniem główny nurt historii Europy XX wieku to koniec imperializmu i proces integracji, który trwa przez cały wiek, od I wojny światowej do końca komunizmu. I można, zaczynając od Polski, ten proces bardzo dobrze opisywać, pokazując, że Polska jest tu kluczowym przykładem. W takim ujęciu Polska należy do Europy, należy do świata, i to wszystko jest spójne. Natomiast jeżeli się to ujmuje w kategoriach polskiej woli i sprawczości, wtedy to już nie jest historia, tylko symbolika. To, co Polacy robili, jest ważne, jeżeli chodzi o to, gdzie są granice, jaka była konstytucja itd. Ale ten ogólny proces może być nawet pełniej zobaczony przez pryzmat historii Polski, lecz

tylko pod warunkiem, że sami Polacy zobaczą Polskę w tym procesie i przyjmą to jako swoją historię. To jest zadanie dla historyków. Jeżeli chodzi o II wojnę światową i o UPA, wreszcie kwestię IPN, to, mówiąc ogólnie, historyk może coś zrobić, analizując metodycznie to, co robią państwa. Mam bardzo mądrego kolegę Nikołaja Kuposowa, który właśnie opublikował książkę o tych ustawach ukraińskich, co w nich właściwie jest, w jakim kontekście powstały, pod jakimi warunkami. To jest bardzo ciekawe, bo ilustruje w zasadzie proces wszech europejski, nie tylko wschodnioeuropejski, więc wy możecie na to patrzeć trochę ogólniej, z szerszej perspektywy. A jak ja na to patrzę? Z mojej perspektywy problem dla Polaków i dla Ukraińców polega na tym, że to Rosja określa tu reguły gry. Ukraińcy i Polacy grają w rosyjskiej grze pamięci, w której reguły są takie: my jesteśmy zawsze niewinni, a od czasu do czasu jesteśmy wielcy. Jeżeli więc takie są reguły gry, to Rosja wygrywa. I wygrywa cały czas, bo, po pierwsze, narracja II wojny światowej raczej pomaga Rosjanom, a po drugie, Rosja ma mechanizmy i technologie, których Ukraina i nawet Polska nie ma. Mam tu na myśli nie tylko telewizję i internet, ale też pewne automatyzmy i bezwzględność w sposobie myślenia, co przekłada się na skuteczność propagandy i polityki historycznej. Rosjanie są w tym po prostu lepsi niż Polacy, bo są kategoryczni, ultymatywni. Polska, licząc się z pewnymi względnościami, wnikającymi także z bieżącej koniunktury politycznej, jest gdzieś pośrodku. I to jest niewygodne położenie, bo polscy politycy kłamią o historii świadomie, ale nie kategorycznie. Nie bezlitośnie, nie w taki sposób, żeby przekonać innych; żaden polski polityk właściwie nikogo poza Polską, jeżeli chodzi o historię, nie przekonuje. Rosjanie dość często przekonują, bo są w tym kłamaniu bezwzględni i systematyczni. Można nie lubić obecnej polskiej polityki historycznej, ja osobiście jej nie lubię. Ale ona nie jest taka kategoryczna i wykalkulowana jak w Rosji, co oznacza, że w konkurencji regionalnej Polacy cały czas przegrywają. W tym konkretnym przykładzie – relacji polsko-ukraińskich – polscy politycy obecnej zmiany uważają, że posiadają mocne punkty przeciwko Ukraińcom, ale faktycznie to są punkty dla Rosji, nie dla Polaków, bo Rosja ustala tu reguły gry w konfliktogenne dzielenie Europy, a Polacy grają według tych reguł. Ukraińcy też. I Rosjanie ciągle wygrywają, element ich kalkulacji jest właśnie w tym, że nie chwala się cały czas, nie gadają cały czas o tym, że ich polityka pamięci jest właściwa i skuteczna, po prostu pokonują was w kolejnych rozgrywkach polityki pamięci w regionie. I właściwie wszystko, co się stało w polskiej polityce pamięci i polityce historycznej w ciągu ostatnich dwóch lat, to jest ciągła i świadoma wygrana Rosji. Moja ogólna konkluzja jest więc taka, że jeżeli państwo chce mieć solidną politykę historyczną, nie może przyjmować cudzych reguł gry, w tym wypadku rosyjskich. A żeby Polska przekonała innych co do swojego położenia właśnie pomiędzy i związanych z tym konsekwencji, trzeba tu większej finezji niż taktyka: kłamiemy, ale nie do końca; mówimy prawdę, ale jakby złagodzoną i niepewną. Można jednak mieć politykę historyczną, która polega na zasadzie: prawda jest po naszej stronie. I mnie się wydaje, że właśnie Polska miałaby tu ogromną przewagę, gdyby wybrała taką strategię. Ale Polska wciąż sytuuje się jakby pośrodku, a „pośrodku” to jest ciągle przegrywanie. Przecież w waszym kraju są w polityce ludzie o umysłach bardziej wyrafinowanych i są pieniądze wystarczające do tego, ażeby budować aktywną strategię polityczną. Polegałaby ona na tym, że rozszerza się zasięg polskiego języka i przekazu zwłaszcza w udostępnianiu polskich źródeł, otwarciu na debatę międzynarodową i wreszcie uznaniu, że jak

każdy naród także Polacy mają ciemne strony historii, ale im więcej się wie, tym lepiej dla samego narodu, a im mniej się ukrywa, tym mniej jest się podejrzanym i nieprzekonującym. Takim sposobem Polska budowałaby dla siebie profil, który jest inny od rosyjskiego. Ale teraz świat na was patrzy przez pryzmat rosyjskiej polityki pamięci w regionie i w konsekwencji nie widzi specjalnej różnicy. Innymi słowy, patrzy na was tak jak na Rosjan. I wracając do tej „zdrady Zachodu”, to jest bardzo ważne, bo mnie się wydaje, iż tu jest jakby półświadoma wiedza, że wybraliście złą strategię polityczną. Tak naprawdę chcecie przegrać, bo jak Polska przegrywa, to przez ten pryzmat będzie znowu jasne, że to jest wina Zachodu, który z zasady Polaków nie rozumie. Może nie mam racji, ale wydaje mi się, że właśnie w tym motywie „zdrady” jest wybór biernej strategii w polityce historycznej, która odbija się w półświadomej chyba woli, zwłaszcza waszych polityków obecnej formacji rządzącej, żeby Zachód was nie rozumiał. To jest postawa dla tych polityków wygodna, bo ma w sobie potencjał jednoczący – oto potwierdza się „odwieczna” zdrada Zachodu, i że my jesteśmy tacy fajni, a oni nas nie rozumieją.

E.S., P.W.: A czy to nie jest mit mesjanistyczny w obecnej odsłonie?

T.S.: Tak. To jest upieranie się przy tym, że Polska jest inna i z tego powodu nierozumiana. Tylko że praktycznie to jest wmawianie determinizmu klęski, właściwie paradoksalna walka o klęskę. W tym świetle polityka historyczna jest udana, jeżeli przyniesie klęskę, czyli jest nieudana na forum międzynarodowym, bo wtedy można powiedzieć: „oni nas nie rozumieją”.

E.S., P.W.: Czyli to utwierdza nas w wyjątkowości: jak ponosimy klęski, cierpimy, to oznacza, że jesteśmy wyjątkowi, zgodnie z romantycznym mitem Chrystusa narodów.

T.S.: To jest takie koło logiczne.

E.S., P.W.: I że Oni – Zachód – nas nie rozumieją. Ale to samo mówią Rosjanie.

T.S.: Tak. Jeśli więc jesteście już w tym położeniu, to zauważcie, że to są cały czas reguły rosyjskie. Tyle że z tego stanowiska Rosja jest w stanie coś robić, na przykład napaść na Ukrainę bez realnie dotkliwych konsekwencji. Jak Rosjanie mówią: „oni nas nie rozumieją”, to przynajmniej buduje to w miarę koherentny autorytaryzm. Jak wy mówicie: „oni nas nie rozumieją”, to po prostu znaczy, że macie bardzo słabe miejsce w Unii Europejskiej i nic więcej.

E.S., P.W.: W książce *Memory and Law* Lynna Nadela i Waltera Sinnotta-Armstronga pojawia się kwestia „umoralniania historii” w odniesieniu do przydawania sobie wyższości moralnej z powodu historycznych krzywd i żądania kompensacji, przynajmniej symbolicznej. U nas polega to zwłaszcza na traktowaniu klęsk jako moralnych zwycięstw i roszczeniach typu: „to my, Polacy, uczylimy Europę demokracji”, „to my mieliśmy konfederację warszawską ćwierć wieku wcześniej niż edykt nantejski” *ergo* państwo wolności i tolerancji, „wy nas zdradziliście, dlatego nie macie nas prawa pouczać” itd. Spektakularnym przejawem takiej postawy, wynikającej przecież z głęboko zakorzenionych kompleksów, jest

stwierdzenie byłego wiceministra obrony narodowej Bartosza Kownackiego, że to „my Francuzów uczyliśmy jeść widelcem”; społeczeństwo po części przyjmuje z ochotą tego typu enuncjacje. Jednocześnie w Polsce środowisko historyków jest wyraźnie podzielone, więc też nie możemy ciągle za zaistniałą sytuację obwiniać tylko polityków.

T.S.: Na to nie mamy żadnej uniwersalnej recepty, ale mamy swój pogląd. Jeżeli historyk zdecyduje się być czarownikiem pamięci, to neguje przyszłość własnego kraju. Historyk zawsze uważa, że przeszłość otwiera pewne możliwości, które realizują się w terażniejszości. Bardzo charakterystyczne dla tych czarowników pamięci jest domniemane dążenie do tego, żeby tutaj, w terażniejszości, nie ustawał spór Polaków z Polakami, Polaków z Europejczykami. Ale w tym ciągłym sporze zapominamy, że historia jest nurtem idącym w kierunku przyszłości i że Polska ma mieć przyszłość. A oni właśnie chcą Polaków utwierdzać w przekonaniu, że specyfiką polskości są krwawe klęski i zwycięstwa moralne; że polityka jest udana, kiedy pamięć historyczną przepełnia pamięć niezawinionych klęsk, bo wtedy można zamknąć się w tym kole: „oni nas nie rozumieją” i dlatego „nasza polityka zagraniczna jest taka słaba, bo nas nie rozumieją”, dlatego „nie jesteśmy w stanie nic wynegocjować, bo oni nas nie rozumieją”. Tak wygląda polityka, która nie radząc sobie z obecnymi realiami, od razu sięga do zmitologizowanej przeszłości. Budując taką Polskę, której nikt nie zrozumie, przygotowuje drogę do przyszłych klęsk w polityce zagranicznej, a historia Polski zaczyna być ignorowana.

E.S., P.W.: Zbliżamy się do końca naszej rozmowy, w związku z tym ostatnie pytanie. Panie Profesorze, chcielibyśmy nawiązać do koncepcji historii progresywnej Haydena White'a, która, zacytujmy, „rodzi się z troski o przyszłość – przyszłość rodziny, przyszłość kraju, gatunku ludzkiego, ziemi i przyrody; historię, która sięga do przeszłości w poszukiwaniu intelektualnych, emocjonalnych i duchowych zasobów, które mogłyby pomóc poradzić sobie z tymi troskami”. Konkluzja jest przynajmniej zastanawiająca: „badamy przeszłość nie po to, by dowiedzieć się, co naprawdę się zdarzyło, czy by uprawomocnić terażniejszość, ale by dowiedzieć się, co to znaczy stanąć w obliczu przeszłości, którą chcielibyśmy odziedziczyć, a nie takiej, którą zostaliśmy obciążeni”*. Nasuwa się tu pytanie, czy historiografia może stworzyć takie społeczne imaginarium, które pozwalałoby na budowanie pozytywnych wizji przyszłości, pozytywnej historii jutra? I znów nawiążemy do kwestii, którą postawił Pan w rozmowie z Tonym Judtem: czy jest jakiś praktyczny sposób wypracowania historii, tak aby przyczyniał się do tworzenia wspólnot obywatelskich w społeczeństwie otwartym (w sensie Popperowskim)?

T.S.: Dla mnie to jest i za dużo, i za mało, bo mnie się wydaje, że jeżeli jest taki program od początku, to nie będzie historia, bo historia sama w sobie jest działalnością wolną i nie wiadomo, dokąd to badacza doprowadzi. I właśnie to „nie wiadomo, dokąd to prowadzi” jest ważniejsze niż pozytywne cele. Chociaż te cele są już w metodzie, w założeniach metodologicznych, ale nie w skutkach. Kiedy pracuję nad książką o II wojnie światowej albo o latach

30. i 40. i piszę, jak umarło 14 milionów ludzi, wcale nie wykluczam, że to nam pomaga w budowaniu przyszłości. Ale to nie był mój cel. Gdybym myślał, jak mam używać tego doświadczenia, to bym pisał zupełnie inne książki. Mnie się wydaje, że historia sama nam pomoże w budowaniu społeczeństwa otwartego, niezależnie od tego, jakie są książki, chodzi o to, żeby były historyczne, to już jest bardzo dużo.

E.S., P.W.: Ale zgodzimy się z tym, że nauka historii powinna być też ćwiczeniem myślenia strategicznego i pragmatycznej wyobraźni, która pozwala na przewidywanie konsekwencji działań – a to też dużo, zwłaszcza w odniesieniu do polityków.

T.S.: Nauka historii zawsze coś tworzy dla społeczeństwa i w społecznych kontekstach, dlatego w oczach społeczeństwa nie jesteśmy po prostu podzieleni na protagonistów zmiany zapatrzonych w przyszłość i tych, którzy siedzą cicho w swoich wąskich specjalizacjach. Na historyków patrzy się też jak na tych, którzy robią coś pożytecznego dla społeczeństwa. Ale nie przez to, że zawsze mają rację, tylko przez to, że uprawiają ten jeden z niewielu zawodów humanistyki, które razem ze sztuką i dziennikarstwem, choć są pod wieloraką presją, zwłaszcza polityczną, pokazują, na czym polega potrzeba nauk humanistycznych w społeczeństwie. Ale to już odrębny, choć dzisiaj istotny temat.

E.S., P.W.: Dziękujemy za rozmowę.

Przypisy

* Cytat za: Ewa Domańska, *Historiografia wyzwolenia*, w: Hayden White, *Przeszłość praktyczna*, tłum. zbiorowe, red. Ewa Domańska, Universitas, Kraków 2014, s. 279.

Bibliografia prac Timothy'ego Snydera przywoływanych w wywiadzie

Black Earth: The Holocaust as history and warning, Tim Duggan Books, New York 2015 (wyd. pol. *Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2015).

Bloodlands: Europe between Hitler and Stalin, Basic Books, New York 2010 (wyd. pol. *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Świat Książki, Warszawa 2011).

Nationalism, Marxism, and Modern Central Europe: A biography of Kazimierz Kelles-Krauz, 1872–1905, Harvard University Press, Cambridge, MA 1997 (wyd. pol. *Nacjonalizm, marksizm i nowoczesna Europa Środkowa. Biografia Kazimierza Kelles-Krauza*, tłum. Marta Boguta, Krytyka Polityczna, Warszawa 2011).

On Tyranny: Twenty lessons from the twentieth century, Tim Duggan Books, New York 2017 (wyd. pol. *O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2017).

The Reconstruction of Nations: Poland, Ukraine, Lithuania, Belarus, 1569–1999, Yale University Press, New Haven 2003 (wyd. pol. *Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569–1999*, tłum. Magda Pietrzak-Merta, Pogranicze, Sejny 2009).

The Red Prince: The secret lives of a Habsburg archduke, Basic Books, New York 2008 (wyd. pol. *Czerwony Książę*, tłum. Maciej Antosiewicz, Świat Książki, Warszawa 2010).

The Road to Unfreedom: Russia, Europe, America, Tim Duggan Books, New York 2018 (wyd. pol. *Droga do niewolności. Rosja, Europa, Ameryka*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2019).

Sketches from a Secret War: a Polish artist's mission to liberate Soviet Ukraine, Yale University Press, New Haven 2005 (wyd. pol. *Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2008).

Judt Tony, Snyder Timothy, *Thinking the Twentieth Century*, Penguin Press, New York 2012 (wyd. pol. *Rozważania o wieku XX*, tłum. Paweł Marczewski, Rebis, Poznań 2013).

Deskrypcja wywiadu: Michał Bednarczyk
Redakcja tekstu: Ewa Solska i Piotr Witek
Korekta językowa: Beata Bińko

Historyk w służbie „rozumu politycznego”



JAN POMORSKI

Historyk w służbie „rozumu politycznego” (prof. Andrzejowi Nowakowi – wirtualnie – do sztambucha)

Wewnętrzny dialog prawdomówności obraca się wokół kluczowego zadania samoobrony. Jest przesycony lękiem kłamcy o samego siebie. Lęk doprowadza do rozszczepienia świadomości egotycznej na Ja-dla-siebie i Ja-dla-innych. Pierwsze Ja jest podmiotem dialogu prawdomówności, drugie Ja jest podmiotem dialogu kłamstwa.

Ks. prof. Józef Tischner, *Błądzenie w żywiole prawdy* (Tischner 1999, 150)

Czy w politycznej historii jest miejsce na kategorię „zdrady”? – pyta prof. Andrzej Nowak (Nowak 2017, 299-312) w kontekście dyskusji nad książką *Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement* (2015), którą z nim prowadziłem na łamach „Dziejów Najnowszych”*. I odpowiada, oczywiście, że jest: mam jako historyk do tego pełne prawo i właśnie z niego skorzystałem w tej monografii. Nie próbuje sugerować – zauważmy – że to np. wydawca narzucił mu taki tytuł ze względów marketingowych, by książka się lepiej sprzedawała (co w obecnych czasach nawet by mnie nie dziwiło – marketing ma swoje „prawa”); jest natomiast jego jednoznaczna deklaracja, iż była to decyzja świadoma. Chodziło o to, by – konceptualizując własny przedmiot badania – appeasement POŁĄCZYĆ z kategorią „zdrady Zachodu”.

Odnosząc się zatem do tak postawionego przez Andrzeja Nowaka pytania, powiem: pełna zgoda. W **politycznej historii** – znamienne, że krakowski historyk, zadając tytułowe pytanie, tą frazą właśnie się posłużył – czyli historii podporządkowanej jakiejś polityce historycznej, myślenie w kategoriach

paradygmatu zdrady narodowej jest nie tylko obecne, ale także święci triumfy. Czy jednak jest na nią miejsce w tym, co w **nauce historycznej** zwykliśmy nazywać „**historią polityczną**”? Tu mam już sporo wątpliwości... O spotkaniu tych dwóch historii – *politycznej historii i historii politycznej* – jest w istocie mój artykuł zamieszczony w „Dziejach Najnowszych” (Pomorski 2017a, 269-298). Wprost sytuuję go także w ramach szerszej dyskusji o polityzacji i mitologizacji historii (zwłaszcza dziejów najnowszych) i o poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jakiej historii Polacy dzisiaj potrzebują?

Nie muszę dodawać, iż tekst o *Pierwszej zdradzie Zachodu* nie był intencjonalnie wymierzony w osobę profesora Andrzeja Nowaka – miał ilustrować szersze i ważniejsze (niż osobiste poczucie wartości każdego z nas jako naukowców) zjawisko rozpowszechnionej polityzacji i mitologizacji historii najnowszej, o której pisałem w artykule *Polityzacja/mitologizacja historii, czyli w czym neuronauka (i metodologia) może pomóc badaczowi historii najnowszej* (Warszawa, 10 grudnia 2016), otwierającym debatę na Forum Badaczy Dziejów Najnowszych, podczas której mieliśmy okazję po raz pierwszy dyskutować ze sobą na ten temat. Wymiana myśli, wywołana moim tekstem zamieszczonym na stronie Polskiego Towarzystwa Historycznego (http://pth.net.pl/uploads/forum_badaczy_dn/Polityzacja_historii.pdf), miała swój ciąg dalszy i została opublikowana w specjalnym numerze czasopisma „Historia@Teoria” (2018); Andrzej Nowak nie przyjął zaproszenia Redakcji do udziału w tym projekcie. Tak się złożyło w międzyczasie, iż jedna z jego książek stała się przedmiotem mego – jako metodologa historiografii dziejów najnowszych – badania. *Case* profesora Nowaka, historyka wybitnego, miał pokazać, jak łatwo można przekroczyć barierę odgradzającą historię polityczną, uprawianą jako jedna ze specjalizacji w ramach historiografii, obok np. historii społecznej, gospodarczej, dyplomacji czy idei, od *politycznej historii*, czyli historii sterowanej bezpośrednio aktualną polityką historyczną. Tylko tyle i aż tyle.

Niestety mój artykuł spotkał się z dość nerwową reakcją krakowskiego historyka, który odebrał go jako – cytuję – „mający zdyskredytować atakowaną książkę i jej autora”, choć z mojej strony – do tej pory – nie było w tym nic osobistego. Nawet inkryminowana metafora „wyciąganie asa z rękawa”, być może niefortunna, nie miała u mnie wydźwięku pejoratywnego („szulerstwa naukowego”, jak odczytuje to Nowak), ale przeciwnie, z kontekstu, w jakim została przywołana, jasno wynika, iż sygnalizuję poprzez jej użycie sytuację, gdy autor – przedstawiając całą talię argumentów przemawiających za postawioną na początku tezą – zachował na koniec jeszcze jednego „asa” – odnaleziony polityczny testament brytyjskiego pośła w Warszawie, potwierdzający, że był jednak ktoś pośród politycznie znaczących Anglików, kto „potrafił dostrzec niemoralność i zarazem polityczną krótkowzroczność polityki kapitulacji wobec totalitarnej agresji”, choć właśnie ten cytat z *Pierwszej zdrady Zachodu* w swym tekście przywołuję (Pomorski 2017a, 282). Gdzie tu naruszenie rzetelności naukowej z mojej strony? To raczej emocjonalna reakcja Nowaka na to, co napisałem dalej, wytrącając mu ten argument za pomocą przypomnienia wniosków, do jakich sam wcześniej doszedł: „Ale czy tę świadomość zdrady mieli inni, czy miał ją główny architekt brytyjskiej polityki Lloyd George? No, nie! Sam przecież Nowak zauważa, że [tu następuje cytat z *Pierwszej zdrady Zachodu*]: »Inni bohaterowie tego

rozdziału spostrzegli to dopiero później, na przykładzie Hitlera albo Stalina, w 1939 czy 1944 roku. Niektórzy nie widzą tego do dziś«” (tamże). Pozostaję więc przy swoim: za pomocą *jednego przypadku* nie da się uzasadnić tezy, że wiedzieli wszyscy. Krakowski historyk wpada w myślową pułapkę, którą sam na siebie zastawił.

Przeciwnie niż zarzuca mi to autor, wielokrotnie zwracam uwagę na to, co w tej monografii cenne: więcej niż połowę swojego obszernego przecież tekstu poświęciłem dokumentowaniu ewidentnych osiągnięć badawczych Andrzeja Nowaka, dowodząc, że nie musiał on wcale nadawać jej dodatkowo wymiaru politycznego. Że niepotrzebnie – z punktu widzenia interesu nauki historycznej – wpisał się tą monografią w paradygmat „zdradzanej Polski”. Że czynić tego nie musiał, bo naukowo znakomicie mogła obronić się ona bez tego politycznego wymiaru. Że wystarczyło poważnie, a nie zdawkowo, potraktować kategorię *appeasement* (na co zwracam uwagę, pokazując, jak interdyscyplinarnego podejścia badania nad tym zjawiskiem wymagają i jak długą tradycję mają – zob. tamże 277-280), by powstała praca naprawdę wybitna. Skoro jednak profesor Nowak świadomie zechciał wpisać się również w *polityczną historię*, to to, co w tej pracy „politycznego” wymaga dekonstrukcji i demitologizacji. I to jest akurat zadanie dla metodologa, który też pracuje na źródłach, tyle że historiograficznych, czyli w tym przypadku nad *Pierwszą zdradą Zachodu* Andrzeja Nowaka. Odsyłanie mnie zatem do tego, bym poprowadził własną kwerendę archiwalną nad badanym przez krakowskiego historyka zagadnieniami lub jeśli takowych nie przeprowadziłem zamilkł, jest tyleż naiwne, co świadczące o kompletnym niezrozumieniu, czym jest metodologia historii. Przykładowo: „Kto chce, może tę książkę przeczytać, kto chce, może zakwestionować zebrany w niej materiał i przedstawione wnioski – najlepiej za pomocą własnej pracy ze źródłami. Profesor Pomorski owe wnioski odrzuca. Ale niestety piętrzy tylko argumenty retoryczne, nie sięgając do źródeł” (Nowak 2017, 306).

Przedmiotem mojej rekonstrukcji/poznania jest bowiem konkretna historyczna praktyka badawcza; w tym to, co nią steruje, określona wizja świata i człowieka, z którą historyk przystępuje do badania, by posłużyć się znaną kategorią Jerzego Topolskiego. Skupiam się zatem na analizie poszczególnych kategorii pojęciowych użytych do konceptualizacji przedmiotu badania (*appeasement, totalitaryzm, świat wyobrażony, punkt widzenia, zdrada Zachodu*), na sposobie argumentacji historycznej i sposobach wyjaśniania zarówno postaw poszczególnych sprawców historii, jak i samych wydarzeń, poprzez te działania wytworzonych jako ich zobiektywizowane efekty. Analizuję nie tylko to, CO Andrzej Nowak ma nam do powiedzenia na temat tego, co zdarzyło się w 1920 roku, ale przede wszystkim, JAK to robi, w kontekście zarówno stosowanych procedur badawczych, jak i sposobów konstruowania narracji historycznej. Przedmiotem badania jest tu zatem to, co określamy jako METODOLOGIĘ STOSOWANĄ danego historyka. W pisanej aktualnie książce *Metodologia historii najnowszej. Teoria i praktyka* przedmiotem mego badania stała się np. metodologia stosowana w ponad stu książkach z historii najnowszej z ostatniej dekady. Innym przykładem takiej rekonstrukcji może być artykuł poświęcony metodologii stosowanej Timothy’ego Snydera, który ukazał się ostatnio w „Historyce” (Pomorski 2017b, 245-302).

Pozostaję zatem cały czas na poziomie analizy METAHISTORYCZNEJ i nigdy nie zamierzałem odnosić się do monografii Andrzeja Nowaka jako historyk dyplomacji, stosunków międzynarodowych czy po prostu dziejów najnowszych (swoją drogą *Pierwsza zdrada Zachodu* takich recenzji specjalistycznych już się wcześniej doczekała, po co więc byłoby pisać kolejną?), bo to nie moje specjalności naukowe w ramach nauki historycznej. Tymczasem Andrzej Nowak, formułując szereg zastrzeżeń do mojego tekstu, oczekuje ode mnie tego właśnie. Ciągłe mówi o jakiejś recenzji/recenzowaniu. Nie chce zauważyć bądź zaakceptować tego, że jako metodolog przenieśliśmy dyskusję na poziom METAJĘZYKOWY w stosunku do języka *stricte* historycznego. Moje krytyczne odczytanie *Pierwszej zdrady Zachodu* próbuje potraktować jako RECENZJĘ (skąd ten pomysł??? – przecież ja wprost sygnalizuję w tytule, iż są to *Rozważania o historiografii i polityce historycznej* na kanwie jego książki, a nie jej recenzja!) i sprowadzić je jedynie do kwestii następujących: „Nie było żadnej zdrady Zachodu w roku 1920, nie można mówić o żadnym »Zachodzie« (jako antytezie komunistycznego »Wschodu«), a przede wszystkim nie powinniśmy w Polsce pisać o żadnej »zdradzie Zachodu« – to trzy podstawowe tezy **recenzji** [podkreśl. – J.P.]” (Nowak 2017, 299).

Ten prosty zabieg – przeniesienie pola dyskusji z własnej metodologii stosowanej na to, co w ogóle zdarzyło się w roku 1920 – ma intencjonalnie odwrócić uwagę od tego, co jest w moim artykule właściwym przedmiotem badania i zamiast odnieść się jakoś do moich krytycznych uwag na ten temat, krakowski historyk stara się zasugerować czytelnikom „Dziejów Najnowszych”, że w istocie chodzi o spór między nami o to, czy była zdrada Zachodu, czy jej nie było?

Przeglądając rozmaite komentarze internetowe, które odpowiedź profesora Nowaka wywołała, odnoszę wrażenie, że ten zabieg okazał się nawet skuteczny**. Tymczasem nasz spór dotyczy czegoś zupełnie innego i o wiele bardziej fundamentalnego: rekonstruując metodologię stosowaną i opisując warsztat naukowy Andrzeja Nowaka, dowodzę, że jego praktyka badawcza broni się sama i wcale nie potrzebowała podparcia tezami politycznymi o „zdradzie Zachodu”. Że to dopiero na poziomie konstrukcji narracji historycznej, a nie samego badania historycznego, uległ on pokusie mitologizacji i polityzacji historii. I wskazuję, że historyk w wymiarze etycznym powinien czuć się odpowiedzialny także za możliwy społeczny odbiór swojego dzieła i że pisanie w paradygmacie „istnienia istnieniem zdradzonym” jest – by rzec słowami klasyka współczesnej polskiej polityki – *ciężką chorobą duszy i umysłu, którą podpowiada diabeł*. A na pewno już nie jest dobrą odpowiedzią na pytanie: jakiej historii Polacy obecnie potrzebują w przestrzeni publicznej?

Kategoryczność powyższego osądu wynika stąd, iż podzielałam przekonanie profesora Krzysztofa Pomiana, który swego czasu pisał, iż: „Bycie historykiem nie jest czymś przyznanym raz na zawsze wraz z dyplomem ukończenia odpowiednich studiów. Bycie historykiem musi zyskać za każdym razem potwierdzenie zajmowaną postawą poznawczą i moralną” (Pomian 2014, 35). Czy zasada ta została złamana przez Andrzeja Nowaka w *Pierwszej zdradzie Zachodu*? Odpowiedź na to pytanie pozostawiam śledzącym tę debatę o polityzacji/mitologizacji naszej historiografii. Bardzo dobrze zatem się stało, że Redakcja „Dziejów Najnowszych” postanowiła zestawić obydwie teksty –

moje krytyczne studium i odpowiedź na nie profesora Nowaka – ze sobą, publikując je w tym samym numerze. To ułatwia konfrontowanie poszczególnych tez i argumentów, ułatwi też – mam nadzieję – Czytelnikowi falsyfikację twierdzeń mylnych bądź jawnie fałszywych, których w rzeczonyj odpowiedzi nie brakuje.

Pozwolę sobie także wyrazić osobiste przekonanie, że nasza polemika jest też zapisem/świadectwem stanu/chwili, w jakiej znalazła się polska historiografia A.D. 2017, reflektując nad sobą samą w kontekście aktualnie prowadzonej polityki historycznej i w tym sensie ta wymiana myśli może mieć znaczenie – mam nadzieję – także środowiskowe, a nie tylko zainteresować po latach przyszłych historyków historiografii.

I w zasadzie mógłbym na tym stwierdzeniu poprzestać, przymykając oko na osobiste „wycieczki” autora *Pierwszej zdrady Zachodu* pod adresem warsztatu „lubelskiego metodologa”, gdyby nie jedna uwaga Nowaka rzucona pod adresem ks. prof. Józefa Tischnera. Zbyt wiele mu myślowo zawdzięczam, by przejść wobec tej wypowiedzi obojętnie. Jeśli rozważania Tischnera nad fenomenem zdrady w *Filozofii dramatu* (1999) ktoś uznaje za „całkowicie banalne w tym akurat zakresie”, to nic mnie nie powstrzyma od wyrażenia intelektualnego oburzenia i konstatacji, iż są one równie banalne, jak rozważania nad „banalnością zła” Hannah Arendt, bez których trudno obecnie wyobrazić sobie nasze myślenie o niemieckim nazizmie i Holokauście. Pisze Andrzej Nowak:

Z chęcią wykorzystam natomiast właśnie nawiązanie do ks. prof. Tischnera jako dobry punkt wyjścia próby odpowiedzi na istotne pytanie profesora Pomorskiego. Idąc za (w istocie całkowicie banalnymi w tym akurat zakresie) rozważaniami Filozofii dramatu, zakończonymi wnioskiem, iż podstawą pojęcia zdrady jest złożona wcześniej, a niedotrzymana obietnica, profesor Pomorski pyta: „Czy latem 1920 roku najpierw obiecano nam wierność, a potem zdradzono?”. I stawia „pytania pomocnicze: co nam tak naprawdę w Wersalu Zachód obiecywał? Za co ręczył?”. Recenzent głosi dalej – już bez argumentów – tezę, że nie było obietnicy, która by usprawiedliwiała określenie sytuacji Polski latem 1920 r., opisanej przeze mnie w omawianej książce, w kategoriach „zdrady” (Nowak 2017, 300).

Postawmy zatem pytanie: jakie znaczenie dla historyka może mieć namysł Tischnera nad fenomenem zdrady? Otóż ten – powtórzę tu raz jeszcze swój wywód – że ksiądz profesor uczuła nas na to, że zdrada jest relacją osobową, zakładającą **świadomość** obydwu stron: zdradzającego i zdradzanego, że do zdrady dochodzi/doszło. Tu i teraz. Historyk może postawić hipotezę, że taką świadomość aktorzy procesu historycznego posiadali, ale musi to UDOWODNIĆ. **Nie może natomiast imputować im tego**, czyli „wdrukowywać” w ich głowy czegoś, czego tam nie było. SPRZECZNOŚĆ w logice historycznej Andrzeja Nowaka polega właśnie na tym (czego nie chce/nie potrafi zauważyć), że zrekonstruowawszy najpierw bardzo starannie i udanie, co w swoim tekście zauważam i doceniam, „świat wyobrazony” brytyjskich przywódców z Lloydem George’em na czele, pokazał jednocześnie wprost całą peryferyjność i nie-podmiotowość Polski w tej „zachodniej mapie mentalnej” z 1920 roku. To nawet nie była relacja Imperium – kolonia, lecz myślowy owoc tego – co przenikliwie dostrzegł już Piłsudski – że Polski na mapie politycznej XIX wieku zwyczajnie nie było. Jak

można było tedy zdradzić kogoś, kto w „świecie wyobrażonym” Imperium zaledwie się rodził, dopiero zaczynał się wyłaniać z niebytu historycznego?

Co zatem robi Andrzej Nowak? Ano opuszcza perspektywę badacza, patrzącego na wydarzenia *in statu nascendi*, czyli tak, jak postrzegali je ówcześni aktorzy procesu historycznego i przenosi się w czasy mu współczesne, by tym razem z **perspektywy historyka bogatszego o wiedzę, co przyniósł wiek XX**, snuć narrację o tym, co zdarzyło się latem 1920 roku. To jest ta właśnie sprzeczność: te same wydarzenia, które historykowi A.D. 2016 wydają się być „pierwszą zdradą Zachodu”, z perspektywy ich sprawców żadną zdradą nie były. Były raczej tym, co prof. Włodzimierz Suleja rozpoznał i nazwał „modelem ówczynie obowiązującej na Zachodzie „poprawności politycznej” (Suleja 2016, 255).

Profesor Nowak trzyma się standardów właściwych dla nauki historycznej, gdy prowadzi swą analizę na poziomie subiektywnych motywacji poszczególnych sprawców historii, tak pojedynczych aktorów – postaci typu: Lloyd George, Namier czy Rumbold, jak i obsadzając w tej roli podmioty zbiorowe: Zachód, Polskę czy Rosję sowiecką (pomijam tymczasem złożony problem hipostazowania i antropologizacji rzeczonych podmiotów, by nie wchodzić w analizę kolejnych błędów metodologicznych autora *Pierwszej zdrady Zachodu*). Ale niepostrzeżenie, w toku narracji historycznej, historia polityczna zmienia się pod wpływem bieżącej polityki historycznej (tej spod znaku „istnienia istnieniem zdradzonym”) w *polityczną historię*, gdzie nie obowiązują już standardy naukowości. Polityka *appeasementu* stosowana przez państwa – podmioty/sprawców historii w XX stuleciu przestaje być przedmiotem badania historycznego (ściślej: kategorią teoretyczną konceptualizacji tegoż przedmiotu), ale w połączeniu z kategorią „zdrady Zachodu” staje się jedynie narzędziem w służbie „rozumu politycznego”.

Wygłosiwszy tę tezę, chciałbym przejść obecnie – znów w trybie bardziej rozważań o historiografii i polityce historycznej niż recenzyjnym, skupionym wyłącznie na analizie odpowiedzi profesora Nowaka na moje studium krytyczne (gdyż sama przez się nie byłaby ta analiza na tyle ważna, by epatować/zajmować tym grono szersze) – do tego, co zasygnalizowałem tytułem *Historyk w służbie „rozumu politycznego”*. Czynię to tym chętniej, że pozwoli mi to znów odwołać się do niezwykle istotnych rozważań ks. prof. Tischnera (i choć trochę spopularyzować je w ten sposób w środowisku historyków ten portal odwiedzających).

Tischner, kontynuując swoje rozważania nad istotą myślenia w kategoriach zdrady, poddaje w *Filozofii dramatu* wnikliwej krytyce sam *rozum polityczny*, pokazując, o co w istocie chodzi nie tylko w sprawie „istnienia istnieniem zdradzonym”, ale i w innych toczonych publicznie sporach o prawdę i kłamstwo, również te historyczne. I właśnie dzięki przywołaniu Tischnerowskich ustaleń będę mógł uzyskać/ukazać szerszy kontekst dla analizy postępowanie Andrzeja Nowaka, zaprezentowanego w odpowiedzi na moje krytyczne studium o jego książce, bowiem stanowić może ono modelową wręcz egzemplifikację tego, co Tischner nazywa „błędzeniem w żywiole prawdy” w służbie *rozumu politycznego* (zob. Tischner 1999, 140-173).

Przepraszam, że tym razem nie obędzie się już bez personalnych odniesień. I

nie chodzi nawet o to, iż po lekturze odpowiedzi Andrzeja Nowaka mógłbym poczuć się z obowiązku zachowania wstrzemięźliwości w tym względzie zwolniony, ale stanie się tak dlatego, że rozważania Tischnera o tym, jak „pracuje” rozum polityczny, będą zwyczajnie bardziej zrozumiałe, jeśli dodatkowo poprze się je jakimś konkretnym przykładem. Rzecz jasna, w służbie „rozumu politycznego” mogą działać przedstawiciele różnych profesji. Tu zajmuje mnie *historyk*, bowiem o polityzacji i mitologizacji historii piszę i stanowi ona m.in. mój przedmiot badania.

Zacznijmy zatem od prezentacji drogi myślowej ks. profesora. Jak zwykle u niego, rozważa on problem, poddając analizie konkretne ludzkie dramaty, dobrze rozpoznane w naszej zbiorowej pamięci kulturowej: „Dwa przykłady obrazują stosunek człowieka do prawdy: obrona Sokratesa oraz obrona Raskolnikowa ze *Zbrodni i kary* Fiodora Dostojewskiego. Sokrates broni się przed kłamliwym oskarżeniem, Raskolnikow broni się przed oskarżeniem, które jest prawdą. Dla Sokratesa prawda jest drogą do ocalenia życia, dla Raskolnikowa drogą do ocalenia życia jest kłamstwo. Oto jak dwuznaczny może być stosunek człowieka do prawdy” – powiada Tischner (Tischner 1999, 140). I zaraz pojawia się konstatacja uogólniająca:

Kłamstwo jest szczególnym przypadkiem stosunku między Ja i Ty – polega ono na podaniu innemu nieprawdy jako prawdy. Zakłada, że prawda jest kłamiącemu znana – w każdym razie jest on o tym przekonany – nie jest jednak z jakichś powodów przekazywana innym. Kłamstwo zakłada nadto, iż okłamywany prawdy nie zna lub przynajmniej nie jest jej pewny. Gdyby było inaczej, kłamstwo nie miałoby sensu. I jeszcze jedno założenie: kłamiący uznaje wartość prawdy i wartość prawdomówności, wie zatem, że kłamiąc, czyni źle, jest jednak przekonany, iż musi tak czynić (tamże, 143-144).

Fenomen kłamstwa można rozważać na poziomie tak radykalnym, jak przypadek Raskolnikowa, można rozważać go także na poziomie kłamstwa historycznego czy kłamstwa naukowego. Kłamać można z powodów osobistych i wówczas interweniuje to, co ks. profesor nazywa „rozumem pospolitym”. Można też kłamać, odwołując się do racji ponadindywidualnych, interesu zbiorowości, do której się przynależy lub z którą się politycznie utożsamia. To domena *rozumu politycznego*. Tischner konkretyzuje to na przykładzie Raskolnikowa: najpierw analizuje jego kłamstwo na poziomie rozumu pospolitego, by następnie przejść do omówienia sposobu jego manifestowania się/emanacji na poziomie wyższym, na poziomie rozumu politycznego właśnie. Pisze:

[...] kłamca dąży do tego, by ukonstytuować wokół siebie, a następnie przekazać innym drugi świat. Praca nad tym światem wymaga szczególnego wysiłku. Kłamca musi rozróżniać okoliczności mniej lub bardziej istotne – te, których znaczenie można zmienić, i te, których zmienić nie można i dlatego trzeba je ukryć. Zmiana znaczeń nie może przebiegać całkiem dowolnie, lecz musi być zgodna z regułami koherencji znaczeniowej. Z kolei każde zaprzeczenie wydarzeniu musi być czymś więcej niż tylko zaprzeczeniem faktowi – najlepiej będzie, jeśli się zaprzeczy również warunkom jego możliwości. Nie wystarczy stwierdzić: nie zabiłem. Trzeba raczej powiedzieć: nie mogłem zabić. Stąd troska o unicestwienie śladu. Ślady same mówią. Konstrukcja świata dla innych może się udać jedynie pod warunkiem zatarcia śladów (tamże, 147-148).

W przypadku kłamstwa naukowego też można próbować zacierać ślady. Do kwestii tej powrócimy niebawem. Teraz ważna myśl kolejna: „Kłamstwo zwraca się na zewnątrz, ku innym. Kłamstwu zwróconemu na zewnątrz towarzyszy wewnętrzna prawda. Im większa potrzeba kłamstwa, tym wyraźniejsza świadomość prawdy” (tamże, 157).

Doprawdy trudno mi uwierzyć, że Andrzej Nowak nie ma świadomości (Tischnerowska *wewnętrzna prawda*), jaka jest prawda, gdy zwraca się do czytelników „Dziejów Najnowszych” tymi słowy:

W swoich „sztuczkach prawniczych” profesor Pomorski posunął się już na samym początku swej recenzji bardzo daleko, stanowczo za daleko. Przykro powiedzieć, ale poza granice uczciwości w obchodzeniu się z cytatai (a zwłaszcza z ich autorami). Zasłużony metodolog z Lublina jakby nie opanował podstaw metodyki pracy ze źródłami, jakich uczy się chyba jeszcze w szkole, przed studiami. Oto swoją rozprawę z moją pracą rozpoczyna od niezwykle oryginalnego ustawienia przeciwnika. Między przypisem 8 a 9 tekstu profesora Pomorskiego pojawia się obszerny, nieopatrzony żadnym przypisem cytat. Ma on kluczowe znaczenie dla jego dalszego wywodu, bowiem zostaje on przedstawiony jednoznacznie tak, jakby był to cytat mojej wypowiedzi, w istocie cytat z mojej książki, ujawniający sedno mojego płacznego, pełnego kompleksów nastawienia do problemu „zdrady Zachodu”. Zaczyna się ów cytat od stwierdzenia „Zachód zdradzał Polaków wielokrotnie”, przypomina dalej Napoleona, legionistów na Haiti, zawiedzione nadzieje powstańców listopadowych i styczniowych na pomoc aż po konferencję w Jałcie... Niestety, ta stereotypowa wyliczanka nie jest cytatem z mojej książki ani żadnych moich słów. Jest to wypowiedź redaktora Adama Leszczyńskiego z „Gazety Wyborczej”, z jego recenzji mej książki (to bardzo osobista wypowiedź redaktora Leszczyńskiego, którą bezpośrednio poprzedzają słowa: „«Zachód zdradził nas w Jałcie i teraz też zostawił nas samych»” – słyszałem w dzieciństwie, które przypadło na czas stan wojennego...” – takie miał dzieciństwo Adam Leszczyński, moje było inne – i przypadało na czasy Gomułki). Redaktor „Gazety” w takim kontekście odczytuje moją książkę. Ma do tego pełne prawo. Ale profesor historii, tym bardziej metodolog, nie ma chyba prawa podstawiać wypowiedzi jednego autora drugiemu, tylko dlatego, że jest mu to retorycznie przydatne? (Nowak 2017, 306-307).

Ileż trzeba mieć ZŁEJ WOLI, by coś takiego napisać? Przecież nie tylko z kontekstu mojej wypowiedzi jest oczywiste, że ów cytat jest kontynuacją wypowiedzi Adama Leszczyńskiego, bo przecież bezpośrednio powyżej i dodatkowo w zdaniu poprzedzającym ten cytat wprost do historyka z „Gazety Wyborczej”, a nie do Andrzeja Nowaka, się tu myślowo odnoszę. Przecież każdy to może sprawdzić, sięgając bezpośrednio do mojego tekstu. Nie da się w tak prosty sposób zatrzeć śladu... Gdyby ktoś miał jeszcze jakąś wątpliwość, to wystarczy odrobina logiki: Nowak stawia przecież w swej książce tezę, że była to PIERWSZA zdrada Zachodu, a zacytowany przeze mnie Leszczyński pisze tu wprost, że BYŁY ZDRADY WCZEŚNIEJSZE i nawet daje ich konkretne przykłady, falsyfikując tytułową tezę krakowskiego historyka. Oto stosowny fragment z tego cytatu:

„Zachód zdradzał Polaków wielokrotnie. Napoleon Polski nie tylko nie

odbudował po zaborach, ale wysłał polskich legionistów, żeby zabijali walczących o wolność afrykańskich niewolników na Haiti. W czasach powstania listopadowego i powstania styczniowego liczyliśmy na pomoc, a słyszeliśmy głównie ciepłe słowa” (Pomorski 2017a, 271).

Powiem zatem coś mocnego, bardzo mocnego: to Tischnerowskie kłamstwo w imię rozumu pospolitego dokonane przez profesora historii! Dodatkowo, trzeba być naprawdę człowiekiem małej wiary w logiczne myślenie czytelników „Dziejów Najnowszych”, ale przede wszystkim w profesjonalizm samej **Redakcji, której Andrzej Nowak** – a nie ja – **jest przecież członkiem Komitetu Redakcyjnego**, by myślowo dopuścić, że osoba odpowiedzialna za korektę techniczną mojego tekstu w redakcji „Dziejów Najnowszych” – pani Ewa Bazyl – natychmiast by takiej „wpadki” nie wychwyciła i w razie jakichkolwiek wątpliwości, do czego ów cytat się odnosi, nie poprosiła o uzupełnienie numeracji przypisu. Tym bardziej, że prosiła o drobne zmiany i poprawki w kilku innych przypadkach, podczas naszej wspólnej pracy nad redakcją tekstu.

Co dalej? Sięgnijmy znów po Tischnera: „Rozum pospolity zaczyna się wstydzić samego siebie. Oczarowany nadciągającym teatrem, bierze sobie za wzór myślenie polityczne i wyrzekając się coraz bardziej swej pospolitości, kształtuje siebie na obraz i podobieństwo rozumu politycznego. Od czego zaczyna? Zaczyna od postawienia kluczowego pytania polityki: kto za mną, a kto przeciw mnie?” (Tischner 1999, 167). A jak to może wyglądać w praktyce?

Pomorski przechodzi w końcu swego tekstu do sugestii otwarcie politycznych, aktualnych, publicystycznych: pisze o „mierzeniu się z trudną polską wolnością w czasach IV RP” i stawia tezę, że w imię tego wyzwania, powinniśmy dzisiaj raczej zastanowić się: „co oznacza dziś, w warunkach polskich A.D. 2017, zdradzać Zachód?”. A więc jednak wolno mówić o zdradzie – ale tylko wtedy, jeśli analizujemy, jak to Polska zdradza Zachód. I zdrada, i Zachód okazują się wtedy kategoriami dopuszczalnymi i naukowymi? Oczywiście w takich ramach interpretacyjnych książka o realnej polityce Lloyda George’a zgody z Rosją sowiecką kosztem Polski i o poprzedzającej ją mentalności imperialnej części zachodnich elit, w której Polska (tak jak inne kraje Europy Wschodniej) okazuje się tylko „puzzlem”, do dowolnego przestawiania zgodnie z grą między mocarstwami – nie może być dobrą monografią naukową, co stwierdza w swym końcowym werdykcie profesor Pomorski. Tego rodzaju książka może być, według niego, właśnie tylko przejawem p o l s k i e j zdrady Zachodu, zimno wykalkulowaną realizacją „określonej antyeuropejskiej polityki historycznej”. W takim kluczu łatwo odkryć wszystkie „ukryte” w niej chytrze sugestie (Nowak 2017, 310).

Takie postawienie sprawy otwiera drogę do fazy drugiej: „Otwiera się nowa droga dla Raskolnikowa: to, co dla pospolitego rozumu było kłamstwem, okazuje się wyższą prawdomównością, a to, co dla rozumu pospolitego było prawdą, okazuje się kłamstwem dla wyższego rozumu” (Tischner 2017, 162). Podstawą rozumu politycznego jest tzw. radykalizm aksjologiczny. Przyjrzyjmy się, na czym on polega: „Rzeczywistość historyczna, wytwory kultury, ustroje państwowe, religie są owocem przeświadczeń, które z niewiadomych bliżej powodów dominują w określonym czasie, w określonych społeczeństwach. To, co nazywa się obiektywną rzeczywistością, jest jedynie chwilowym stanem rzeczy,

określonym przez dotychczasową historię wiedzy i samowiedzę człowieka. Czym tedy jest prawda, a czym fałsz? Prawda i fałsz zależą od społecznego uznania dla wartości określonej tezy: teza bardziej wartościowa dla określonego społeczeństwa zostaje uznana za bardziej godną urzeczywistnienia, a więc również za bardziej prawdziwą; teza mniej wartościowa, lub wręcz szkodliwa, staje się tezą błędną. Czym tedy jest kryterium prawdy? Kryterium prawdy jest to wartość przysługująca danej tezie” (tamże, 163).

Zauważmy, że Tischner uczuła nas tu, iż miłe uszom każdego historyka hasło „mówienia prawdy” może być interesowne w tym sensie, że sama „prawda” nie jest przez rozum polityczny traktowana jako wartość autoteliczna, lecz jest zwyczajnie instrumentalizowana, służy czyimś interesom. Zwracał na to uwagę także Tony Judt, dyskutując z Timothy Snyderem o historii XX stulecia: „Rzeczywisty problem polega na tym, że kiedy jedna społeczność domaga się »mówienia prawdy«, ma na myśli nie tylko wyolbrzymianie własnego cierpienia, ale sugeruje też pomniejszanie cierpienia innych” (Judt, Snyder 2012, 63).

W paradygmacie rozumu politycznego prawda z dogmatu epistemologicznego zmienia się w dogmat aksjologiczny. „Powtórzmy raz jeszcze: podstawowym kryterium prawdy jest wartość, jaka przysługuje danej prawdzie. Teza ta jest radykalizującym przedłużeniem myślenia, które towarzyszy nauce od zarania i tworzy ją. Czyż poza tym nie jest spełnieniem skrytych jej marzeń? Czy nie twierdzi się, że wiedza jest potęgą, a nauka podstawowym środkiem twórczym? Dotychczas prawda miała władzę nad myśleniem, ale nie przysporzyło to szczęścia ludzkości. Odtąd myślenie będzie miało niepodzielną władzę nad prawdą. Stanowisko takie nazywamy radykalizmem aksjologicznym” – pisze Tischner (Tischner 1999, 164). Radykalizm aksjologiczny pociąga za sobą dwa następstwa.

Przede wszystkim rzuca on nowe światło na ideę władzy. Problem władzy staje się istotnym problemem aksjologii. [...] Aby budować lepszą przyszłość, trzeba zespolenia wielu w jeden potężny organizm, poruszany jedną myślą i jednym sercem. Klucz do realizacji wartości spoczywa więc w ręku władzy. Oznacza to jednak, iż władza posiada również klucz do ich prawdziwości. Ona wie i ona może. Jej praktyka okazuje się w końcu konkretnym i ostatecznym kryterium prawdy: prawdą jest to, co się udaje władzy, nieprawdą to, co kończy się jej niepowodzeniem. Mając odpowiednią władzę, która potrafi skupić w odpowiednim kierunku wolę narodów i pokonać przeszkody stojące na jej drodze, może człowiek czuć się panem prawdy i fałszu. Jak Bóg, a może jak anty-Bóg... Z całą pewnością jednak jak Raskolnikow (tamże, 164-165).

Jeśli dla rozumu politycznego wszystko jest tworzywem, to może nim być również historia. I człowiek, jako jej sprawca.

Człowiek także musi dorastać do poziomu twórcy wartości. Władza musi go zatem w taki sposób uformować, by mógł rozumnie, ale posłusznie, uczestniczyć w jej wielkim przedsięwzięciu. Także więc na płaszczyźnie stosunku Ja i Ty określona praktyka staje się konkretnym i ostatecznym kryterium prawdy. Jak nazwać rozum, który dokonuje zarysowanej przez nas radykalizacji aksjologii? Nazwiemy go r o z u m e m p o l i t y c z n y m. Rozum ten dąży do stworzenia świata na nowo. Nie chce jednak i nie

może czynić tego w samotności, lecz wciąga w swe dzieło wszystkich ludzi, posługując się określoną polityką. Stąd nasza nazwa. [...] Konkretyzacją tego rozumu jest postać Raskolnikowa. Oskarża się go o morderstwo. Ale morderstwo istnieje tam, gdzie przedtem było braterstwo. Lichwiarka zerwała więź braterstwa. Jeśli więc było cokolwiek, to wyłącznie zabójstwo. Lecz czy nie zabija się w wojnie, na polu bitwy? Czy zniszczenie przeszkody na drodze do szczęśliwego jutra nie jest dla ludzkości pożyteczne? Jeśli tak, to Raskolnikow nie kłamie, tylko mówi prawdę w wyższym niż pospolity sensie. Dlaczego potępia się go za to, za co chwali się Napoleona? (tamże, 165-166).

Co zatem robi prof. Nowak w ramach „rozumu politycznego” w swojej sprawie? Próbuje zdemaskować mnie jako ukrytą opcję prozachodnią w polskiej historiografii, a nawet coś gorszego: dostrzega pokrewieństwo mojej optyki historycznej z tymi spośród zachodnich lewicujących intelektualistów, którzy długo nie chcieli dostrzec, czym w istocie jest komunizm. Pisze: „Profesor Pomorski stara się całkowicie zakwestionować tego rodzaju przeciwstawienie. Stwierdza, iż trudno mówić już w roku 1920 o takim radykalnym kontraście między Zachodem a Rosją sowiecką i instalowanym w niej systemem politycznym, bowiem ów system „jeszcze nie okazał zbrodniczego charakteru”. To mocne stwierdzenie. Bardzo mocne” (Nowak 2017, 303). Zwłaszcza, gdy zestawia się to z faktem, iż był to „terror, który kosztował już do lata 1920 r. życie z pewnością nie mniej niż kilkaset tysięcy ofiar”. Jak na tym tle wyglądam? „Paskudnie”, że posłużę się zwrotem Andrzeja Zybortowicza, który w ten sposób odpowiedział na pytanie, jak powinien się czuć ktoś, kto nie spełnia jego kryterium „minimum patriotyzmu”. Zostałem rozpoznany i zdemaskowany!

Tischner: „Ileż radości dostarczają nieoczekiwane odkrycia, zwane słusznie »demaskacjami«! Oto ktoś był, jak się okazuje, tylko pozornie z nami, a naprawdę był przeciwko nam. Obca wtyczka! Szpieg! Sabotażysta! Czy z takimi odkryciami mogą konkurować odkrycia matematyków, fizyków, chemików?” (Tischner 1999, 168).

Powróćmy jednak do Nowaka, bo najlepsze dopiero przed nami:

Lubelski metodolog jest konsekwentny. Skoro w roku 1920 nie można jeszcze mówić o zbrodni jako sposobie funkcjonowania systemu komunistycznego, nie wolno także używać odnośnie do niego określenia „totalitarny”. Argument w tym zakresie wysunięty przez profesora Pomorskiego jest wręcz rozczulający: skoro termin „totalitaryzm” został wprowadzony w obieg dyskursu publicystycznego i naukowego dopiero w latach dwudziestych XX w., i to w odniesieniu do faszyzmu włoskiego, to nie wolno go zastosować do określenia systemu wcześniej działającego. Ależ by się zdziwili koledzy-mediewiści, gdyby usłyszeli, że powinni porzucić termin „feudalizm” z tego tylko powodu, iż był on całkowicie nieznany w opisywanych przez nich czasach... (Nowak 2017, 304).

Czytając co powyżej, po raz pierwszy czułem jedynie zażenowanie wobec takiego deficytu kultury logicznej. U profesora przecież, a nie studenta historii! Albo to rozczulająca inaczej naiwność logiczna/metodologiczna prof. Nowaka, albo działanie wprowadzające czytelników „Dziejów Najnowszych” w błąd świadomie. Z pozoru wygląda to nawet logicznie, przypomnijmy zatem za

Tischnerem: „zmiana znaczeń nie może przebiegać całkiem dowolnie, lecz musi być zgodna z regułami koherencji znaczeniowej”, czyli w tym przypadku tymi, które obowiązują w środowisku historyków – dodajmy. Tak nakazuje rozum polityczny. Zwłaszcza przykład z „feudalizmem” miał tu być miażdżący: jak można zakazywać historykom posługiwania się terminem „feudalizm” z powodu tylko tego, że był on nieznanym ludziom żyjącym w czasach, gdy ustrój/system ten faktycznie panował. Pełna zgoda: nie można. Problem w tym, że ja nigdzie takiego zakazu *explicite* ani *implicite* nie formułuję. Pisząc to, Andrzej Nowak pokazuje wprost, że albo naukowo „błądzi w żywiole prawdy”, albo intelektualnie nie rozumie zarzutów mu stawianych. Nie wiem, co gorsze! W naszym sporze o **adekwatność posłużenia się kategorią totalitaryzm** chodzi przecież **nie o sam termin, lecz o użycie pojęcia totalitaryzm, a ściślej: o jego desygnaty, czyli to, do czego się rzeczony pojęcie przedmiotowo odnosi.** Wystarczy zajrzeć do mojego tekstu (por. Pomorski 2017a, 279) – cytuję: „**Pomijam** już fakt, że sam termin pojawił się w 1923 r., a pojęcie państwa totalitarnego cztery lata później, **ważniejsze jest coś innego...**” [podkreślenie na potrzeby tego cytatu – J.P.]. Pomijam, bo to mało istotne, choć daje okazję do przypomnienia *begrifsgeschichte*, by skupić się na tym, co ważne: na opisanu fundamentalnego błędu krakowskiego historyka! Jak widać AN tego „pomijam” także nie raczył zauważyć i postanowił uczeplić się właśnie tego pierwszego członu zdania podrzędnego – niestety dla niego, okaże się w toku dalszego wywodu, iż „tonący brzytwy się chwyta”.

Pozostając przy powyższym przykładzie Nowaka, wyjaśniam – najprościej, jak się da, by zrozumiał – że **chodzi o sytuację, gdy historyk poszukuje desygnatów pojęcia „feudalizm” nie w epoce, w której one** (czyli te zjawiska, które na feudalizm zdaniem historyków się składają) **występowały, ale – powiedzmy – szuka ich w... niewolnictwie!** Czyli, wyrażając to w języku bardziej metodologicznym, chodzi o sytuację, gdy badacz dokonuje tzw. imputacji kulturowej, popełniając błąd ahistoryzmu, czyli *zmienia porządek czasu*, jakby powiedział Pomian, „wczytując” w przeszłość to, co dopiero zajdzie w przyszłości. I oto właśnie chodzi z tym błędnym odwołaniem do totalitaryzmu: Andrzej Nowak rozpoznaje go zwyczajnie tam, gdzie jeszcze się historycznie nie objawił! Mój sprzeciw tego właśnie dotyczy, a nie zakazu używania *pojęcia* totalitaryzm, jak próbuje to wmówić czytelnikom „Dziejów Najnowszych” krakowski historyk! W roku 1920 system totalitarny jeszcze nie istniał, upłynie jeszcze wiele lat, nim objawi się on Europejczykom w pełnej formie, nie można zatem oczekiwać od Lloyda George’a i Zachodu, żeby go w swym świecie wyobrażonym antycypowali! To o tym historycznym nieporozumieniu właśnie piszę w metodologicznym studium o *Pierwszej zdradzie Zachodu* i ten błąd wytykam Andrzejowi Nowakowi. A co on robi? Próbuje problem „zamieść pod dywan” i przekierować – zgodnie z logiką rozumu politycznego – uwagę czytelników na moją rzekomą naukową „wpadkę”. Swoją drogą ciekawe, ilu czytających odpowiedź Nowaka dało się na tę logikę nabrać?

Jest jeszcze jeden aspekt poruszonego powyżej problemu: to kwestia nie perspektywy historyka (znającego następstwa, skutki zdarzeń), ale perspektywy „sprawcy historii” (działającego tu i teraz). To z perspektywy sprawców historii można za Tischnerem mówić o samej zdradzie i „istnieniu istnieniem zdradzonym”. Nowak zakłada, iż przywódcy Zachodu działali w złej wierze, chcąc latem 1920 roku kosztem Polski zaspokoić żądania Rosji sowieckiej i

mając od początku świadomość zbrodniczego/totalitarnego charakteru tego państwa. Ale rekonstruuując ich „świat wyobrażony”, bardzo udanie zresztą, na co zwracam uwagę w swym krytycznym studium, pokazuje przecież, iż zdominowany on był myśleniem imperialnym, a z tej perspektywy Polska była jedynie pionkiem w grze, a nie partnerem w rozgrywce! Autor nie dostrzega/nie chce dostrzec tej sprzeczności we własnej logice historycznej. Bo albo prawdziwa jest jego rekonstrukcja „świata wyobrazonego” i wówczas falsyfikuje ona tezę o zdradzie Zachodu i działaniu w złej wierze, albo rzeczona zdrada była i wówczas rekonstrukcja „świata wyobrazonego” przywódców brytyjskich jest błędna. „Rozum polityczny” podpowiada jednak profesorowi Nowakowi trzecie wyjście (a nuż ludzie to „kupią” w imię wyższych racji aksjologicznych):

Użyty przez profesora Pomorskiego w obronie „Zachodu” (a konkretnie jego politycznego lidera – brytyjskiego premiera) argument z niewiedzy o zbrodniczej naturze systemu, który się politycznie sankcjonuje, jest jednak ryzykowny jeszcze z drugiego powodu. Ma on bowiem swój inny dramatyczny przykład – chyba odstrasżający, tj. argument tzw. zwykłych Niemców, którzy nie wiedzieli nic o totalitarnej naturze systemu, któremu służyli, nie wiedzieli nic o dokonywanych przez nich zbrodniach, z Holocaustem na czele. Profesor Pomorski sięga po ten sam w gruncie rzeczy argument, by bronić „zwykłych polityków” prowadzących politykę w imieniu Zachodu – tych, którzy wybrali appeasement z Leninem w roku 1920. Oni jednak nie wiedzieli nie dlatego, że nie mogli wiedzieć, ale dlatego, że nie chcieli wiedzieć (Nowak 2017, 306).

Wobec siły perswazyjno-moralnej tego zestawienia – „zwykli Anglicy” i „zwykli Niemcy” powinienem bądź zamilknąć ze wstydu, bądź założyć worek pokutny i bicząc się intelektualnie (np. czytając kolejne tomy *Dziejów Polski AN*) udać się w pieszą pielgrzymkę do Krakowa, by w krypcie wawelskiej prosić o przebaczenie, że ja – prosty „metodolog z Lublina”, z tylekroć zdradzonej Polski, *ośmieliłem się stanąć w obronie „Zachodu”* [w rzeczywistości stoję w swym krytycznym studium o *Pierwszej zdradzie Zachodu* nie w obronie „Zachodu” – bo po co? (to tak, jakby komuś zaproponować grę w szachy, a on ci wyjeżdża z „cymbergajem”), ale w obronie rzetelności nauki historycznej, ma się rozumieć]. Ale szybko mi przeszło, bo przypomniałem sobie, jak potrafi UWODZIĆ rozum polityczny (por. Tischner 1999, 167) i pomyślałem, że lepiej zapytać kolegów historyków brytyjskich, wśród których Andrzej Nowak przebywał i prowadził swoje kwerendy źródłowe do w/w monografii, jak poczuliby się zestawieni tą wypowiedzią z Niemcami i wydani pod osąd Historii? Oni, potomkowie „zwykłych Anglików”, skonfrontowanych latem 1920 roku z polityką Rosji sowieckiej, bytu nowego i słabo jeszcze rozpoznanego, zrównani teraz przez krakowskiego kolegę ze „zwykłymi Niemcami”, udającymi niewiedzę o zbrodniach hitlerowskich. I czy TAKIE ZESTAWIENIE nie jest GIGANTYCZNYM NADUŻYCIEM INTELEKTUALNYM prof. Nowaka, dokonany w imię ROZUMU POLITYCZNEGO?

Po co Nowak to zrobił? – można zapytać. Doprawdy nie wiem. Tropem może być język postprawdy właściwy dla rozumu politycznego. Tak o takiej mowie pisał Tischner:

Nie odwołuje się ona do pospolitej prawdy, lecz do prawdy politycznej, której jeszcze nie ma, ale którą należałoby stworzyć. Mowa ta zachęca i zniechęca, umacnia i osłabia, budzi entuzjazm i budzi grozę, wznieca i

gasi pożary, uwodzi i zwodzi – jednym słowem, agituje. Mniej ważne staje się to, co się mówi, ważniejsze jest to, jak się mówi. Zawsze jednak ciągnie się za nią jak cień początkowa podejrzliwość i wszystkie jej następstwa: z podejrzenia płyną oskarżenia, z oskarżenia denuncjacje, a od denuncjacji już tylko krok do morderstwa. Ileż uroku ma takie myślenie i taka mowa! /.../ Myślenie polityczne jest zaraźliwe, rozprzestrzenia się nie dzięki odsłanianym prawdom, tylko jak zaraza – poprzez samą styczność. Nic zatem dziwnego, iż ulegają mu nawet intelektualiści (Tischner 1999, 168-169).

Jest taki film pt. *Denial/Kłamstwo* (2016) w reżyserii Micka Jacksona, który frapująco obrazuje historię zmagania przed angielskim sądem amerykańskiej historyczki prof. Deborah Lipstadt z negującym prawdę o Auschwitz Davidem Irvingiem. Chciałbym prof. Nowakowi (i wszystkim obserwującym naszą dyskusję na portalu) gorąco polecić jego obejrzenie. Bez żadnych osobistych podtekstów. Chodzi mi wyłącznie o moralny aspekt zmagania się z postprawdą.

Tony Judt sformułował w zbliżonym kontekście ważne ostrzeżenie dla historyka XX wieku:

*Po pierwsze, nie wolno wymyślać lub wykorzystywać przeszłości dla teraźniejszych celów. To mniej oczywiste, niż mogłoby się zdawać. Wielu dzisiejszych historyków w gruncie rzeczy traktuje historię jako udział w polemikach politycznych. Chodzi o ujawnienie czegoś na temat przeszłości, co ukrywały konwencjonalne ujęcia – skorygowanie jakiegoś błędnego odczytania przeszłości, na ogół po to, żeby stronnictwo zaangażować się w teraźniejsze spory. **Przygnębia mnie, kiedy jest to robione prostacko i bezwstydnie** [podkreśl. – J.P.]. To oczywista zdrada powołania historyka, które polega na próbach zrozumienia przeszłości (Judt, Snyder 2012, 286).*

A jest to powołanie, które – jak przypominał nam Pomian – nie jest nam dane na zawsze, wraz z otrzymaniem dyplomu historyka, tylko takie, które należy potwierdzać zajmowaną postawą poznawczą i etyczną każdego dnia. Także wtedy np., gdy przytacza się argument z autorytetu Pipesa: „Przypomnijmy wobec tego – z kolei za Richardem Pipesem: »wszystkie atrybuty totalitaryzmu miały swoje antecedencje w leninowskiej Rosji: oficjalna, wszechobejmująca ideologia; jedyna partia wybranych, kierowana przez 'wodza' i dominująca nad państwem; terror policyjny; kontrola partii rządzącej nad środkami komunikacji masowej oraz armią; centralne sterowanie ekonomią«. Tak, to już było widoczne w roku 1920. Przynajmniej dla niektórych, dla wielu nawet” (Nowak 2017, 304).

Otóż zadałem sobie trud sprawdzenia: Pipes nie twierdzi tu – co sugeruje Nowak („Tak to już było widoczne w roku 1920. Przynajmniej dla niektórych, dla wielu nawet”) – że **współcześni dostrzegali w 1920 roku znamiona totalitaryzmu w Rosji**, lecz pisze o zgoła czymś innym: oto on JAKO HISTORYK dostrzega **antecedencje** totalitaryzmu już w Rosji Lenina. Można zastanawiać się, czy twierdzenie Pipesa jest zasadne, ale to już zupełnie inna kwestia. Na przykład Marek Kornat zajmuje w tej kwestii następujące stanowisko: „Nasz punkt widzenia ujmuje więc w jednym zdaniu: idee i rządy Lenina bezspornie zawierały duży potencjał totalitarny, ale po jego przedwczesnej śmierci losy tego dziejowego »eksperymentu«, którego podwaliny stworzył, mogły potoczyć się różnie, zaś rządy Stalina to tylko jeden z wariantów rozgrywającej się

historii” (Kornat 2010, 148. Dziękuję Mariuszowi Mazurowi za zwrócenie mi uwagi na ten artykuł). Pozostawmy to specjalistom. Nie można jednak posługiwać się autorytetem Pipesa dla obrony tezy, że współcześni wiedzieli, czym był totalitaryzm.

Ciekawe swoją drogą, jak prof. Nowak zareagowałby, gdyby ktoś Polsce wrogi, ośmielony tym cytatem z pracy amerykańskiego historyka, wpadł na pomysł, by za pomocą wymienionych powyżej atrybutów totalitaryzmu uzasadniać tezę, iż ustrój, w jakim jest nam dane aktualnie żyć nad Wisłą, określany czasem jako PISREALIZM *per analogiam* do socrealizmu (zapewne na skutek przeżywanego *deja vu*) – spełnia większość cech wymienionych przez amerykańskiego historyka. Na wszelki wypadek dodam (zadziałała *czujność proletariacka*), że w moim świecie nazwanie *pisrealizmu* totalitaryzmem, nawet w wersji *soft* tego pojęcia, jak widział to Pipes w przypadku Rosji sowieckiej z lat dwudziestych, absolutnie się nie mieści! Zatem wolałbym, aby żaden historyk z Krakowa/Warszawy czy innego miasta na ten argument z Pipesa się nie powoływał, wodząc czytelników na intelektualne pokuszenie...

A *propos* zaś samego totalitaryzmu i sposobów jego rozumienia to odsyłam do znakomitego studium innego pracującego w USA historyka, Enzo Traversa (Cornell University), które ukazało się ostatnio w „History and Theory” (Traverso 2017, 97-118. Bardzo dziękuję prof. Ewie Domańskiej, że zwróciła mi uwagę na tę pracę). To zdecydowanie merytorycznie lepszy przewodnik po odnośnej literaturze przedmiotu niż Richard Pipes, co potwierdzi zapewne każdy, kto zetknął się z wydanym przez niego przed laty zbiorem *Le totalitarisme: Le XXe siècle en debat* (Traverso 2001).

Zamiast zakończenia – dwa cytaty z Tischnera. W ich metaforycznym kontekście odczytać można istotę dramatu sytuacji Historyka w służbie „rozumu politycznego” (czytaj, np. w służbie nowelizacji ustawy o IPN). Oto pierwszy:

Wygrana Raskolnikowa nie polega jedynie na ocaleniu życia. Spór, jakiego jesteśmy świadkami, jest sporem o władzę. Aby zdobyć władzę, trzeba przedstawić siebie jako sprawiedliwego wśród niesprawiedliwych. Wygrana polega na samousprawiedliwieniu. Usprawiedliwić siebie znaczy wykazać, że nie jest się kłamcą. Raskolnikow dzięki włączeniu w dyskurs rozumu politycznego wykazuje, iż nie zamordował. Nie jest więc kłamcą. Jego czyn był naprawdę aktem bohaterstwa. I choć sędzia śledczy ma o tym inne zdanie, nie ma to większego znaczenia. Raskolnikow jest więc godny posiadania władzy. Dzięki zdolności przewidywania i bohaterstwu może być wodzem prowadzącym społeczeństwo ku lepszej przyszłości (Tischner 1999, 169).

A oto drugi:

Raskolnikow nie wyrzekł się prawdy. On zmienił tylko jej znaczenie. Jest w pełni świadom tego, jak wielką rolę odgrywa prawda w życiu ludzi i narodów. Nie zamierza rządzić inaczej, jak tylko poprzez prawdę. Raskolnikow rozróżnia precyzyjnie to, co stanie się jutro, dzięki jego polityce, i to, co już dzięki niemu się stało. To, co będzie, co zostanie powołane do istnienia, podlega prawdzie rozumu politycznego, tutaj obowiązuje bezwzględne pierwszeństwo aksjologii: im bardziej wartościowy

projekt jutra, tym prawdziwszy. To, co zostało już stworzone, podlega ocenie i opisowi wedle kategorii prawdy pospolitej. Nikt rozsądny nie powinien przeczyć osiągnięciom rozumu politycznego. Gdyby ktoś ośmielił się wysunąć wątpliwości, może spotkać się z jeszcze lepszym sędzią śledczym, który mu wykaże kłamstwo. Tak więc prawda jest fundamentem władzy Raskolnikowa (tamże, 170).

A czyjej władzy fundamentem jest dziś „prawda historyczna”?

Luty, 2018

Przypisy:

* Kontynuowanie tej dyskusji na łamach „Dziejów Najnowszych” byłoby z jednej strony nadużyciem cierpliwości Redakcji, a z drugiej nadużyciem cierpliwości ewentualnie nią zainteresowanych – kolejne miesiące oczekiwania na publikację, dlatego postanowiłem przyjąć zaproszenie do jej przeniesienia do nowopowstałego portalu, dedykowanego specjalnie obecności historii w Akademii i w sferze publicznej.

** Przyznaję, że właśnie te wpisy – obok inspirującej dyskusji seminaryjnej nad obydwoma tekstami, opublikowanymi w „Dziejach Najnowszych”, która pod patronatem Towarzystwa Historiograficznego miała miejsce w styczniu 2018 w Lublinie – stały się głównym motywatorem tego, by raz jeszcze zabrać publicznie głos w tej sprawie.

Bibliografia:

- Judt T., Snyder T. (2012), *Rozważania o wieku XX*, przeł. P. Marczewski, Poznań.
- Kornat M. (2010), *Czy Lenin był przywódcą totalitarnym? (Rozważania wokół nieporozumień)*, [w:] W. Kozub-Ciembroniewicz i in. (red.) (2010), *Totalitaryzmy XX. Idee, instytucje, interpretacje*, Kraków.
- Nowak A. (2017), *Czy w politycznej historii jest miejsce na kategorię „zdrady”?*, „Dzieje Najnowsze”, R. XLIX, nr 3; <http://apcz.umk.pl/czasopisma/index.php/DN/article/download/DN.2017.3.13/13268> (data dostępu: 10 marca 2018).
- Pomian K. (2014), *Historia – dziś*, [w:] E. Domańska, R. Stobiecki, T. Wiślicz (red.) (2014), *Historia – dziś. Teoretyczne problemy wiedzy o przeszłości*, Kraków.
- Pomorski J. (2017a), *Appeasement jako ostrzeżenie. Rozważania o historiografii i polityce historycznej (Wokół „Pierwszej zdrady Zachodu” Andrzeja Nowaka)*, „Dzieje Najnowsze”, R. XLIX, nr 3; http://rcin.org.pl/Content/63879/WA303_83477_A507-DN-R-49-3_Pomorski.pdf (data dostępu: 10 marca 2018).
- Pomorski J. (2017b), *W poszukiwaniu klucza do zrozumienia historii XX stulecia. Teoria historii i metodologia stosowana Timothy Snydera*, „Historyka. Studia Metodologiczne”, t. 47.
- Suleja W. (2016), *Bezsilność zwycięzców*, „Dzieje Najnowsze”, nr 1.
- Tischner J. (1999), *Błądzenie w żywiole prawdy*, [w:] tegoż, *Filozofia dramatu*, Kraków.
- Traverso E. (ed.) (2001), *Le totalitarisme: Le XX-e siècle en débat*, Paris.

Traverso E. (2017), *Totalitarianism between History and Theory*, „History and Theory”, Theme Issue 55 (December).

Korekta językowa: Anna Bartoś